

PROPAGANDA
STARA JAK ŚWIAT

NASZA KANDYDATKA DO SEJMU:
EWA KRAWCZYK-DĘBIEC

DEMOKRACJA ODDOLNA W POLSCE
- INICJATYWA OBYWATELSKA

nasze czasopismo

Nr 10/2019 • www.naszezasopismo.com.pl

ISSN 2543-7143 • INDEKS 417165 • cena: 5zł (w tym VAT 8%)



PAŃSTWO PRAWA W SERCACH I UMYSŁACH

rozmowa z prof. Marcinem Matczakiem

Szanowni Państwo,

Na początku 2016 roku, w odpowiedzi na otaczającą rzeczywistość i upolitycznienie mediów, powstało „Nasze Czasopismo”. Gazetę współtworzą profesjonalni dziennikarze, eksperci, pasjonaci z różnych dziedzin, a także Wy - nasi Czytelnicy. Mieliliśmy wielu znamienitych gości, a tematy gospodarcze, społeczne, kulturalne czy prawne nie są nam obce.



Jesteśmy pismem opiniotwórczym innym niż pozostałe. Promujemy nowoczesne postawy, wolność w życiu społecznym i gospodarczym. Poruszamy tematy nieobecne w mediach głównego nurtu. Publikacje kierujemy do każdego zainteresowanego sprawami wykraczającymi poza własne „cztery ściany”. Do tych, którzy nie chcą żyć według gotowej recepty na życie, przygotowanej przez innych. „Nasze Czasopismo” to miejsce otwarte dla każdego, kto chciałby podzielić się swoimi refleksjami z innymi.

Jako młode wydawnictwo, cały czas się rozwijamy. Oprócz wersji papierowej naszego miesięcznika, dostępnej na terenie całej Polski w salonach Empik i Ruch oraz w dystrybucji bezpośredniej, jesteśmy też obecni online na: www.naszezasopismo.com.pl.

„Nasze Czasopismo” dostępne jest na terenie całej Polski w salonach Empik i na www.empik.pl oraz w dystrybucji bezpośredniej: redakcja@naszezasopismo.com.pl

Prenumerata: redakcja@naszezasopismo.com.pl

Zapraszamy do współpracy. Propozycje tekstów, ale też rysunków czy fotografii można wysłać na adres: redakcja@naszezasopismo.com.pl.

Wszystkich, którzy wierzą w wizję „Naszego Czasopisma” i chcą pomóc w wydawaniu kolejnych numerów, zapraszamy do wsparcia miesięcznika poprzez darowiznę:

PINIA sp. zo.o.

nr rachunku bankowego: 19 2530 0008 2016 1040 8821 0001 (tytuł wpłaty: darowizna)
lub: <https://zrzutka.pl/mx5xm8/wplac>

bądź zamieszczenia reklamy na łamach naszego pisma w wersji papierowej oraz online. Oferta reklamowa jest tworzona indywidualnie. Kontakt: marketing@naszezasopismo.com.pl

Przemysław Wiszniewski
redaktor naczelny



Drogi Przyjaciele z Opozycji Ulicznej!

Kiedy na wyrost przyrównujemy się do opozycji antykomunistycznej, nie pamiętamy, że tamta działała w znacznie gorszych warunkach. Po pierwsze dlatego, że nie było żadnych oznak zwycięstwa dającego się przewidzieć w najbliższej przyszłości. Po drugie, bo szykany miały znacznie bardziej zdecydowany charakter. Przykładowo, Adam Michnik, Jacek Kuroń czy Karol Modzelewski siedzieli w więzieniu całymi latami. To były ponure dekady walki z systemem. Więźniów bito, łamano im kręgosłupy próbując zmusić do współpracy. Czuwał nad wszystkim Wielki Brat ze Wschodu.

My dopiero zdobywamy szlify. Niektórych z nas policja wywleka za ręce i nogi z manifestacji i rzuca o ziemię niczym worki kartofli. Inni mają 16 spraw sądowych – tu mam na myśli Tomasza Piątka i jego książki ujawniające powiązania władz PiS z kremlowskimi szpiegami.

Cztery marne lata są zaledwie wstępem i zabawą, jeśli Kaczyński będzie dostatecznie zdeterminowany i okaże się skuteczny. Przestrzegam przed obwinianiem społeczeństwa. Jest, jakie jest, takie było i inne nie będzie. Społeczeństwa nie da się wymienić, ale można je uświadamiać. Wyzywanie od „chamów”, jak to uczynił niedawno Hartman, jest przeciwnie skuteczne i głupie.

Na miesiąc tymczasem przed wyborami, najważniejszymi w naszej najnowszej historii, Kaczyński i jego potworny projekt władzy PiS w sondażu Kantar zdobywa nad opozycją miażdżącą przewagę.

Zapewne Polacy nie bardzo lubią być prawdomówni, zwłaszcza wtedy, gdy ich wypowiedzi wymagają pewnej cywilnej odwagi. Być może zatem czeka nas miła niespodzianka. Obywatele deklarują poparcie dla władzy, co niekoniecznie musi przełożyć się na konkretne głosy, oddane intymnie za kotarą w kabinie lokalu wyborczego. Na takie gwałtowne zwroty akcji, zupełnie wbrew wcześniejszym deklaracjom, polska scena polityczna była narażana w przeszłości. Polacy lubią oszukiwać ankietatorów.

Z drugiej strony, niby dlaczego nie mieliby głosować na PiS? Skoro jest im dobrze? Mają zapowiedzi, że będzie jeszcze lepiej? Będzie wprost niewyobrażalnie dobrze? Kaczyński wszak zapowiada Raj na Ziemi. Pieniądze mają rosnąć na drzewach, mało tego – rządząca partia te pieniądze samodzielnie z drzew zerwie i wetknie do portfeli obywatelom.

Kaczyński kocha swój lud warunkowo. Po pierwsze, w zamian suweren ma popierać partię, nie przeszkadzać i zanedbnie nie interesować się polityką. Po drugie, jeśli już, to z pomocą propagandy oferowanej w TVP, a nie informacji zdobywanych pokątnie. Po trzecie, ma się bać – uchodźców, LGBT, gender, ale też trochę władzy, bo władza bywa gniewna. Po czwarte, ma realizować model szczęściotajny. Pomyślność zapewnia płodzenie potomstwa, wstawanie z kolan, wesołe grillowanie, oddawanie czci żołnierzom wyklętym i Lechowi Kaczyńskiemu, który zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną i jego brat nadal ją muruje.

Całkowita odpowiedzialność i wina za taki stan rzeczy spoczywa na naszych barkach. To my nie dołożyliśmy starań, ażeby zapobiec podobnemu rozwojowi wypadków. Tu muszę przyznać rację Kaczyńskiemu – elity okazały się nie dość charyzmatyczne, nieskuteczne, nie wypełniły społecznego zadania. Wobec tego, być może czeka nas dłuższa droga ku wolności i demokracji, aniżeli założone początkowo cztery lata. W sukurs przyjdzie nam ekonomia, o czym już pisałem: „Musimy zbiednieć, żeby zmańdrzeć”...

Nastawmy się na ciężką pracę i prawdziwą walkę, a nie to, co za walkę dotąd uznawaliśmy. Jeśli dyktatura Kaczyńskiego się umocni, skończy się zabawa. Część z nas jest na to gotowa, inni najprawdopodobniej zaczną się urządzać zgodnie ze słynnym porzekadłem Stefana Kisielewskiego.

To nie obywatele w swojej statystycznej masie mają obowiązek obrony demokracji, to my mamy obowiązek dotrzeć do obywateli i ich do tego przekonać.



ADRES: www.naszezasopismo.com.pl, redakcja@naszezasopismo.com.pl

REDAKTOR NACZELNY: Przemysław Wiszniewski

REDAKCJA: Dorota Bilewicz-Bandurska

SEKRETARZ REDAKCJI: Anna Schwerin

PROJEKT LOGO I OKŁADKI: Piotr Woźniak

W NUMERZE PISZĄ: Dorota Bilewicz-Bandurska, Jerzy Cichowicz, Agnieszka Gołas, Martin Groeger, Mateusz Kijowski, Maria Klawe-Mazurowa, Ewa Krawczyk-Dębiec, Anna Lenar, Maria Lewandowska, Anna Lewicka, Mirosław Matyja, Maciej Milczanowski, Karolina Romańska, Ewa Sadowska-Cieślak, Anna Schwerin, Andrzej Wierzbę, Przemysław Wiszniewski, Włodzimierz Witakowski, Agnieszka Wyczółkowska, Katarzyna Wyszomierska

ZDJĘCIA NA OKŁADCE: Piotr Olczak

Jeśli chcą Państwo zgłosić nam ciekawy temat, zauważoną nieprawidłowość lub poruszyć sprawę dotyczącą tego, co jest Państwu bliskie:

redakcja@naszezasopismo.com.pl

Pisząc do nas, mają Państwo prawo do zachowania anonimowości. Materiały niezamówione przez redakcję nie podlegają zwrotowi.

WYDAWCA: PINIA Sp. z o.o.
ul. Chmielna 2/31, 00-020 Warszawa

PINIA

ZARZĄD WYDAWNICTWA:

Ewa Krawczyk-Dębiec (Prezes Zarządu), Anna Lewicka

Darowizny można wpłacać na rachunek nr: 19 2530 0008 2016 1040 8821 0001

REKLAMA: marketing@naszezasopismo.com.pl

DRUK: Foldruk-Folion Sp.j.

Nr 10/2019

TEMAT MIESIĄCA

- 6 Dorota Bilewicz-Bandurska i Przemysław Wiszniewski: PAŃSTWO PRAWA W SERCACH I UMYŚLACH - rozmowa z Marcinem Matczakiem
- 10 Maria Lewandowska: PROPAGANDA STARA JAK ŚWIAT
- 12 Ewa Sadowska-Cieślak: BUDŻET WYBORCZY ANNO DOMINI 2019
- 14 Martin Groeger: PRAWO WSTECZ! – CZYLI DRAMAT W SIEDMIU AKTACH
- 16 Maciej Milczanowski: DLACZEGO W POLITYCE RZUCANIE KAMIENIAMI W DINOZAURA NIE MA SENSU...
- 18 Mirosław Matyja: DEMOKRACJA ODDOLNA W POLSCE - INICJATYWA OBYWATELSKA
- 19 Anna Schwerin: O GŁOSIE!
- 20 Maria Klawe-Mazurowa: FREKWENCJA DECYDUJE O WYNIKACH
- 22 Nasza kandydatka do Sejmu: EWA KRAWCZYK-DĘBIEC

SPOŁECZEŃSTWO

- 24 Katarzyna Wyszomierska: ODSZEDŁ BOGUSŁAW STANISŁAWSKI - PRZYJACIEL DEMOKRACJI (1930-2019)
- 28 Anna Lenar: SYSTEM SIĘ WALI - rozmowa o zapaści w szpitalnictwie
- 31 Karolina Romańska: SŁOWNIK WYRAZÓW TRUDNYCH: TECHNOKRACJA
- 32 Agnieszka Gołas: NIEDOSKONALI, ALE PIĘKNI
- 34 Agnieszka Wyczółkowska: O MIŁOŚCIWIE NAM PANUJĄCYCH KSENOFOBII I HOMOFOBII...

EKONOMIA

- 27 Andrzej Wierzbę: ILE JEST WART CZAS?

HISTORIA

- 40 Włodzimierz Witakowski: QUO VADIS MUNDE? CZĘŚĆ I - RAPORTY RZYMSKIE

FELIETON

- 5 Mateusz Kijowski: ŚWIĘTO, OBOWIĄZEK CZY ZASZCZYT

KULTURA

- 36 Jerzy Cichowicz: KAMIEŃ I CIERPIENIE

TURYSTYKA

- 38 Anna Lewicka: ZANZIBAR WYSPA FRIEDDIEGO MERCUREGO



MATEUSZ KIJOWSKI

ŚWIĘTO, OBOWIĄZEK CZY ZASZCZYT

Od prawie czterech lat wielu z nas aktywnie walczy o demokrację. Na ulicach, w mediach, w Internecie... Czy jednak dobrze rozumiemy, co to jest ta demokracja? Co jest jej istotą i co najważniejszym celem?

Słusznie mówi się, że wybory są świętem demokracji. Ale nie są one jej istotą. Trzeba o tym mówić właśnie teraz, kiedy zbliżają się najważniejsze od 30 lat wybory. Skoro nie o wybory, to o co właściwie w tej demokracji chodzi?

Oczywiście mówimy o demokracji liberalnej. Nie oznacza to, że preferuje ona liberałów. Tak się nazywa najnowsza, najbardziej dojrzała forma demokracji. Tak, jak najnowszym podgatunkiem homo sapiens (człowieka rozumnego) jest homo sapiens sapiens (człowiek rozumny właściwy). Wcześniej istniały inne podgatunki – człowiek kromaniński (Homo sapiens fossilis) czy człowiek współczesny starszy (Homo sapiens idaltu). Przed demokracją liberalną istniały inne modele demokracji. Demokracja ateńska, demokracja bezpośrednia... Dzisiaj próbuje się tworzyć konstrukcję demokracji illiberalnej, czyli demokracji, która nie zawiera osiągnięć demokracji ostatnich osiemdziesięciu lat, a odwołuje się raczej do koncepcji totalitaryzmów powoływanych na podstawie demokratycznego mandatu pochodzącego z wyborów.

Podkłada się dzisiaj pod słowo demokracja znaczenie zbliżone do „dyktatury większości”. W takim modelu wybory są rzeczywiście istotą systemu. Większość osób o ciemnych oczach może przegłosować ograniczenie praw ludzi o oczach jasnych. Posiadający prawo jazdy mogą ustalić, że po ulicach można się poruszać tylko czterokołowymi pojazdami mechanicznymi. Większość niezaangażowanych religijnie może zakazać wszelkiego kultu religijnego w dowolnej formule i wyznaczyć surowe kary.

Dyktatura większości od dyktatury jednostki lub wąskiej grupy różni się nieznacznie – tylko tym, kto narzuca innym swoje zasady, swoje reguły i swoje ograniczenia.

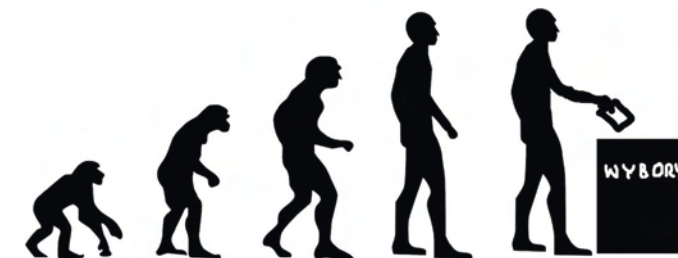
W nowoczesnym świecie jedyną przyczyną dla narzucenia przez zbiorowość jednostce jakichś zasad czy norm może być dobro wspólne. Nie godzimy się na zabijanie czy rabunek, bo jeżeli je dopuścimy, to społeczeństwo przestanie sprawnie funkcjonować. Bo kiedy każdy będzie musiał sam się bronić, przestanie pracować na rzecz wspólnego dobra. A przecież dynamiczny rozwój wymaga zaangażowania i współpracy. Społeczeństwo,

które nie angażuje swoich członków, które nie uczy współpracować przestaje być konkurencyjne wobec bardziej nowoczesnych społeczeństw. Można tu powtórzyć coś, co w zasadzie trzeba uznać już za truizm – zgoda buduje, niezgoda rujnuje.

Czym zatem jest demokracja liberalna? Co jest jej istotą? I jak się zachować w dniu jej święta – 13 października 2019 r.? To oczywiście ustrój państwa, sposób sprawowania władzy. Taki, w którym większość decyduje o kierunkach i metodach działania. Rządy większości z zachowaniem praw mniejszości. Demokracja liberalna narzuca na decydujących zobowiązania. Wiąże prawa z obowiązkami. A podstawowym obowiązkiem jest troska o słabszych, o mniejszości, o tych, którzy sami nie mają szans o siebie zadbać.

W najbliższych wyborach pamiętajmy, żeby wybierać tych, którzy nie chcą narzucać innym, jak żyć. Którzy nie głoszą jedynie słusznej ideologii, ale kierują się ideami i wartościami. Dobrze, żeby te wartości i idee były zbieżne z naszymi.

Ale jest jeszcze jedno kryterium. Dla mnie ostateczne – wynik wyborów. Wynikiem wyborów jest rząd utworzony po wyborach przez większość parlamentarną. Ponieważ wybory zawsze praktycznie rozstrzygają się niewielką różnicą, decydujące dla mnie jest, aby żaden głos za demokracją nie został zmarnowany. W 2015 r. zmarnowało się 2.400.000 głosów na siły prodemokratyczne. Jak zrobić, żeby wszystkie trzy koalicje wolnościowe przekroczyły próg wyborczy? To zadanie dla Was, szanowni wyborcy. Pokażcie, że Wam zależy! ■



fot. pixabay.com

PAŃSTWO PRAWA W SERCACH I UMYSŁACH

O demontażu praworządnego państwa, scenariuszach na następną kadencję parlamentu i sile społeczeństwa obywatelskiego

z prof. Marcinem Matczakiem, prawnikiem, wykładowcą Uniwersytetu Warszawskiego
rozmawiają Dorota Bilewicz-Bandurska i Przemysław Wiszniewski



fot. Piotr Olczak

Dobiegają końca cztery lata rządów PiS. Czy po zmianach, które wprowadził, można powiedzieć, że Polska jeszcze jest demokratycznym państwem prawa?

Te zmiany były bardzo poważne i z pewnością zatrzęsły fundamentami państwa prawa. Głównym gwarantem praworządności jest relacja między parlamentem a sądem konstytucyjnym. To jest najsilniejszy element checks and balances, bo ten sąd ma moc uchylania ustaw. Moim zdaniem Trybunał Konstytucyjny został całkowicie zlikwidowany, jeżeli chodzi o jego funkcję, a to znaczy, że można w Polsce rządzić niekonstytucyjnymi ustawami. Tak więc na poziomie najpoważ-

niejszym, czyli kontroli konstytucyjnej, państwo prawa zostało zniszczone.

Ono nadal istnieje na poziomie Sądu Najwyższego i sądów zwykłych, bo jeszcze nie udało się do nich dobrać. Tutaj zadziałał opór społeczny, który spowodował, że prezydent zawetował ustawę ministra Ziobry i w efekcie tylko częściowo nadgryziono Sąd Najwyższy, nie udało się też wymienić jego prezesa. I jest jeszcze sądownictwo powszechne.

Należy się spodziewać – w środowisku prawników krąży plotka granicząca z prawdą – że ministerstwo sprawiedliwości ma przygotowane ustawy, które mają zro-

bić z sądami powszechnymi to samo, co próbowano zrobić z Sądem Najwyższym. Czyli reorganizację, traktowaną jako pretekst do wymiany sędziów, do zwolnienia wszystkich i przyjęcia przez nową Krajową Radę Sądownictwa, która jest także pod kontrolą tego rządu.

To jest aspekt instytucjonalny. Ale chcę powiedzieć o jeszcze jednym aspekcie. Profesor Martin Krygier – jeden z najlepszych na świecie znawców praworządności, który bada tzw. kruche demokracje – mówi, że praworządność to nie jest w pierwszej kolejności kwestia instytucji, tylko serc i głów ludzkich. Pokazuje, że w państwach, w których nie ma tradycji praworządno-

ści rozumianej jako balansowanie władzy i nie oddawanie wszystkiego w jedne ręce (jak Afganistan czy Irak), nie da się jej zbudować instytucjami.

Dlatego Krygier mówi: praworządność w sercach i umysłach to przekonanie, że najlepszym sposobem podejmowania wspólnych decyzji jest system, w którym nikt nie ma pełnej władzy. Taki, gdzie istnieje możliwość zablokowania decyzji, co powoduje, że trzeba negocjować.

I mnie się wydaje, że w tym zakresie państwo prawa nie tylko się nie osłabiło, ale wręcz wzmocniło. Ludzie przeszli szybki kurs praworządności i zobaczyli, że to nie jest żadna abstrakcja, że to może mieć wpływ na ich życie, np. kobiety, które poszły w Czarnym Marszu albo ludzie, którzy wychodzili na ulice w obronie sądów. I to jest jedyny pozytywny element.

Mam kolegę, rosyjskiego specjalistę od państwa prawa i praw człowieka i on mówi tak: Polska nie przechodzi epidemii, tylko szczepienie. Dzięki temu będziecie bardziej uodpornieni w przyszłości, lepiej zrozumiecie, że praworządność to coś, co powinno przenikać społeczeństwo. Myślę, że tak jest.

Myśli Pan, że ta szczepionka zadziała już w najbliższych wyborach?

Nie jestem pewien, ale też wcale nie musi. Budowanie społeczeństwa praworządnego i demokratycznego to długi proces. Jest wielu ludzi w Polsce, którzy chodzą na wybory, natomiast nie tyle nie rozumieją związku między praworządnością a dobrobytem, co nie widzą wpływu braku praworządności na swój dobrobyt.

Z tym może być trochę tak jak z prawami fizyki – ludzie się nimi nie przejmują, dopóki nie uderzą samochodem w drzewo. Wtedy dopiero zapinają pasy. I tak jest z praworządnością: dopóki się nie uderzy w jakiś ekonomiczny kataklizm albo w jakąś wielką frustrację czy gniew narodowy, to się nie rozumie, dlaczego praworządność jest ważna.

Wspomniał pan, że gotowa jest ustawa dewastująca sądy. Ale czy znajdują się kadry

w odpowiedniej liczbie, by zasilić te sądy?

Trudno mi powiedzieć, bo to będzie naprawdę dramatyczna decyzja dla ludzi, których ta ustawa dotknie. Można sobie wyobrazić, że ogłoszą się tę ustawę z odpowiednim wyprzedzeniem, potęgując tzw. efekt mrożący. Czyli minister powie mniej więcej tak: mam narzędzie, dzięki któremu mogę was wszystkich zwolnić, a potem wybrać tych, których będę chciał przyjąć ponownie do pracy. I teraz będę was obserwował przez następne pół roku – czy będziecie chodzić na manifestacje w koszulkach z napisem „konstytucja” czy nie, czy będziecie jeździć do Brukseli, czy też nie. Jak będziecie, to znajdziecie się na czarnej liście i nie przyjmę was do pracy. Ale jak będziecie cichutko siedzieć, to wtedy macie szansę.

Sędziowie to normalni ludzie, mają rodziny, kredyty. Oczywiście ktoś może powiedzieć: sędzia może odejść z zawodu, wpisać się na listę radców prawnych czy adwokatów. Ale kto decyduje o wpisie? Minister sprawiedliwości. To może być wielka rewolucja i to będzie też test dla ludzkich sumień. Może się zdarzyć, że część osób się złamie ze względów rodzinnych czy finansowych, a może być też tak, że będziemy mieli exodus sędziów. Wtedy powstanie pytanie, co się stanie z sądownictwem, które już jest niewydolne pod względem kadrowym. I to pokazuje, że PiS nie chodzi o żadną reformę sądownictwa, tylko o czystkę personalną.

Przyjmijmy zatem założenie, że PiS użyje większości w parlamencie. Czy poza reformą sądów przewiduje pan inne działania zmierzające do destrukcji systemu praworządności?

Dobrze, że dokonaliśmy na początku różniczenia praworządności instytucjonalnej i praworządności w ludzkich sercach i umysłach. Bo nie ulega dla mnie wątpliwości, że ta praworządność instytucjonalna będzie dalej likwidowana.

Jest jedna szansa, że tak nie będzie, mianowicie wszyscy czekamy na orzeczenie Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej (TSUE), które może te plany pokrzyżować, bo wtedy PiS, o ile wygra wybory, będzie musiał zdecydować, czy zgodzić się

z wyrokiem TSUE i cofnąć na drodze demontażu państwa prawa. Jeżeli bowiem wyrok będzie taki, jak opinia Tanczewa (rzecznika generalnego TSUE), to ten wyrok zakwestionuje niemal wszystko, co do tej pory zrobił sądownictwu PiS. Druga opcja to pójście na wojnę z UE i z ludzką chęcią bycia w Unii – a to politycznie jest bardzo trudne.

Ale założmy, że praworządność instytucjonalną będą niszczyć dalej – wtedy jeszcze większe znaczenie ma ta w sercach i umysłach. Myślę, że rząd PiS boi się gniewu ludzi, pokazał to przy Czarnym Marszu, a także w kwestiach dotyczących sądownictwa. Oni stosują taktykę powolnego posuwania się naprzód i patrzenia, czy opór wzrasta. Jeśli oporu nie będzie, będą się posuwali dalej.

Dla praworządności nieinstytucjonalnej kluczowe znaczenie ma też czwarta władza. Jest mnóstwo teorii, które pokazują, jak wolność i pluralizm mediów wspiera demokrację i trójpodział władzy, więc to jest następne pole walki o praworządność. Władza tego typu jak PiS-owska, którą nazywałem w innym artykule narcystyczną, nie znosi sprzeciwu, on ją organicznie boli. Dlatego będzie się starała zlikwidować wszelkie niezależne elementy – uniwersytety, samorządy i media.

Mówił pan, że praworządność jest w sercach i umysłach. A nie uważa pan, że ludziom coraz bardziej podoba się „faszyzacja” kraju?

Jej obecność w sercach i umysłach to jest wymóg absolutnie konieczny. I w tym sensie ona się nawet wzmocniła, przynajmniej w tej części społeczeństwa, która jeszcze pamięta, że wolności może nie być i dlatego nie traktuje jej jako daną na zawsze. Młodzieży to raczej nie interesuje, ale to się może zmienić, kiedy władza zacznie ingerować w ważne dla niej kwestie. Może się więc zdarzyć, że im dalej władza się posunie, tym bardziej praworządność będzie ogarniała serca i umysły coraz większej części społeczeństwa.

Ale oczywiście istnieje również zjawisko, o którym państwo mówią. Moim zdaniem w Polsce, choć nie tylko, pojawia się frommowski mechanizm ucieczki od ▶

► wolności. Fromm pisze, że pojawił się on z dużym nasileniem po rewolucji Gutenberga w końcu XV w., kiedy nagle dostęp do wiedzy stał się powszechny i ludzie zaczęli kwestionować autorytety, np. autorytet kościoła katolickiego w obszarze zasad moralnych. W efekcie tego kwestionowania stary świat im się zawalił, bo okazało się, że jest wiele prawd, a nie tylko jedna, katolicka, i trzeba wybierać.

Gdy ludzie nie wiedzą, jak sobie poradzić z chaosem informacyjnym i ryzykiem decyzji, wolą się oddać pod panowanie kogoś, kto powie im, co mają myśleć. I ja podzielam tezę, że teraz mamy rewolucję nie Gutenberga, ale Zuckerberga, czyli internetową. Wiedza jest powszechnie dostępna za darmo; zamiast prawników są przepisy w Internecie, lekarzy zastępuje dr Google.

To jest sytuacja, w której potęguje się chaos informacyjny i poznawczy. Ludzie zaczynają się gubić w świecie i pojawia się mechanizm ucieczki od wolności, bo chcą mieć kogoś, kto im wyjaśni świat, kogoś, komu mogą podlegać. A najprościej wyjaśnia świat władza autorytarna, bo ona przedstawia świat czarno-biały: to są wrogowie, ich trzeba nienawidzić, a to przyjaciele, tych trzeba kochać.

Kiedy w Republice Weimarskiej zaczęło dziać się źle, ludzie wsparli nazizm, bo wprowadzał porządek w chaosie. I proszę zwrócić uwagę, że narracja w dyktocie „chaos-porządek” to jest główna narracja PiS-u. Tam gdzie jest chaos, oni mówią, że wprowadzają porządek (przykładem jest chaos związany z kryzysem uchodźczym). A jak nie ma chaosu, to sami go kreują.

Ludzie sprzedają wolność za bezpieczeństwo – ale czy wszyscy? Wielu z nich myśli tak: mnie nie interesuje, co się dzieje na poziomie publicznym, ja dostaję coś od państwa i korzystam z tego tu i teraz. Być może zmienia zdanie, kiedy przestaną dostawać albo zobaczą, że państwo wchodzi z butami w ważne dla nich obszary.

Wyobraźmy sobie, że opozycja wygrywa wybory. Ostatnio znowu jest mowa o Akcie Odnowy Demokracji jako sposobie na przywrócenie praworządności. Czym miałby on być?

Moim zdaniem to absurdalny pomysł. Nie da się naprawić rozbitego państwa prawa jedną ustawą, która wszystko, co zrobił PiS, unieważni. Nie wszystkie działania PiS były przecież nielegalne. Porównałbym to do próby naprawiania zepsutego zegarka młotkiem. Nie jest to dobry pomysł, potrzeba raczej precyzyjnego, ponownego nastawienia – tak zegarka, ja i praworządności. Zespół ekspertów przy Fundacji Batorego, którego jestem członkiem, opracował dla każdej instytucji państwa prawa drogę jej naprawienia. Podstawową zasadą jest to, że ta droga musi być oparta na przestrzeganiu konstytucji. Bo nie można leczyć dżumy cholerą – nie można naprawiać państwa prawa łamiąc zasady państwa prawa.

Z ostatnich wypowiedzi opozycji odnoszę wrażenie, że ta idea naprawczego „blitzkriegu” powraca, ale tego po prostu nie da się zrobić. Powstałby bowiem kolejny negatywny precedens prowadzący do tego, że w Polsce wytwarza się tradycja, zgodnie z którą po wyborach każdy ma prawo zmienić wszystkie instytucje i regulacje tak jak chce. I jeśli przyjdzie nie daj Boże kryzys ekonomiczny i ludzie się wkurzą, to może się zdarzyć, że następne wybory wygra Konfederacja albo ktoś jeszcze bardziej na prawo. Wtedy będzie miał fantastyczną drogę, żeby powiedzieć, że państwo prawa nic już ich nie obchodzi. PiS wygrał – rozwalił wszystko, Koalicja wygrała, rozwaliła wszystko, więc ja też mogę.

A te państwa propozycje na czym miałyby polegać?

Jeżeli chodzi o TK, to pierwszym krokiem jest usunięcie dublerów i ich następców. To się da dosyć łatwo zrobić uchwałą Sejmu. Następnie trzeba przeprowadzić postępowanie dyscyplinarne wobec tych sędziów, którzy zostali legalnie powołani, np. w stosunku do pani Przyłębskiej.

Poza tym w TK prawdopodobnie dochodzi do popełnienia przestępstw. Wszystko wskazuje na to, że pani Przyłębska manipuluje składami, czyli powołuje je niezgodnie z ustawą. To oznacza, że do TK po wygranych przez opozycję wyborach prawdopodobnie wejdzie prokuratura. Kiedy zmienia się wiatr historii, to wie-

lu ludzi zmienia front, więc nie sądzę, że wszyscy sędziowie TK powołani przez PiS będą za niego umierać. Przy KRS i SN będzie łatwiej, jak sądzę, bo tutaj będą bardzo pomocne orzeczenia TSUE.

Oczywiście może się zdarzyć, że TK będzie jednak bronił PiS jak niepodległości i będzie uchylał każdą ustawę naprawczą, uchwaloną przez opozycję. I jeszcze przez co najmniej rok prezydentem będzie Andrzej Duda, można więc sobie wyobrazić, że także będzie bronił PiS. Nie twierdzą więc, że zbudowaliśmy idealny model naprawy, ale mimo to powtarzam, że nie da się rozmontowanego zegarka naprawić młotkiem.

Ale dlaczego to wszystko w ogóle było możliwe? Czy nasza konstytucja jest dziurawa? Czy trzeba dołożyć jeszcze jakieś bezpieczniki, żeby takie sytuacje się nie powtórzyły?

Nie. Jest oczywiście kilka miejsc, w których można by ją uzupełnić, np. poprzez konstytucyjną regulację prokuratury. Ale nasza konstytucja w idealny sposób zareagowała na to, co robił PiS. Gdy pojawiły się pierwsze propozycje ustaw, które miały przejąć Trybunał Konstytucyjny, opozycja normalnie je zaskarżyła i Trybunał stwierdził, że te zmiany są niekonstytucyjne.

I co z tego wynikło?

W tym momencie premier Szydło odmówił publikacji wyroku. Jeżeli ktoś nie uznaje wyroków sądów, to jest przestępstwo. To nie konstytucja jest zła. Taka sytuacja to zamach stanu, bo powoduje, że cały system konstytucyjny przestaje funkcjonować. Nie znam możliwości, aby konstytucja obroniła się przed zamachem stanu.

Czyli osoby, które złamały konstytucję, powinny stanąć przed Trybunałem Stanu.

Oczywiście, to nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Czy tylko?

Są dwie możliwości. Pierwsza to odpowiedzialność konstytucyjna, ale w niektórych sytuacjach może być też odpowiedzialność karna, za przekroczenie uprawnień albo

niedopełnienie obowiązków. Tutaj jest jeszcze jeden problem – w społeczeństwie może powstać potrzeba zemsty. Niektórzy uważają, że obecne działania ministra Ziobro są wynikiem tego, że nie został postawiony przed Trybunałem Stanu po epizodzie 2005-2007 i to go rozzuchwaliło.

Jest w tym pewnie jakaś prawda. Ale jest też zjawisko, które opisuje prof. Samuel Issacharoff z New York University: społeczeństwa, które wsadzają do więzienia przeciwników politycznych, przestają być demokracjami bez względu na to, kto wygrywa. Issacharoff wskazuje, że kiedy Richard Nixon zrezygnował z prezydentury z powodu afery Watergate, został ułaskawiony przez Forda i jego zdaniem to sprawiło, iż Partia Demokratyczna wygrała następne wybory, a demokracja nie została zagrożona. I radzi, by opanować potrzebę wsadzania przeciwników politycznych do więzienia.

Uważam, że rozliczenia z okresem PiS powinny polegać na tym, by pokazać społeczeństwu, do czego dochodziło, a niekoniecznie tych wszystkich ludzi ukarać więzieniem. Trochę się tego obawiam jako formy zemsty, która tworzy męczenników. Słyszałem np., że kandydatem na ministra sprawiedliwości może być Roman Giertych. To jest dobry prawnik, ale prawnik-polityk i ze względu na jego wcześniejsze zaangażowanie będzie trudno uwierzyć w jego bezstronność w ocenie polityków PiS. A bardzo ważne jest, by ludzie zrozumieli, że to nie jest zemsta polityczna, tylko że tym ludziom wymierza sprawiedliwość wspólnota, czyli Rzeczpospolita, a nie konkretny polityk.

Wszyscy wiemy, że rząd PiS to trochę teatr marionetek, a poruszający tymi marionetkami nie pełni żadnej funkcji, która pozwoliłaby go postawić przed Trybunałem Stanu. Co z Kaczyńskim?

To jest trudny przypadek. Wiemy, że nie ma podstaw do pociągnięcia go do odpowiedzialności konstytucyjnej, chyba że pan Kaczyński zostanie premierem. Wydaje mi się, że trzeba będzie zbadać, czy jego zaangażowanie w niektóre decyzje innych osób, dajmy na to o nieopublikowaniu wyroku TK albo jakiegokolwiek innego, które same w sobie stanowią przestępstwo, nie było

podżeganiem albo nawet sprawstwem kierowniczym.

Ale wsadzenie go do więzienia byłoby według mnie najgorszym rozwiązaniem. Człowiek w jego wieku, z takim szacunkiem, jaki ma po tamtej stronie – to byłaby dopiero kreacja męczennika. Uważam, że trzeba po prostu pokazać społeczeństwu nadużycia, jakie miały miejsce, a potem może nawet go ułaskawić.

Nowa władza powinna powiedzieć – Nam nie chodzi o ciebie, Jarosławie Kaczyński, ty nie jesteś taki ważny, tu chodzi o Polskę, o rozwój instytucji naszego państwa. Wsadzenie ciebie do więzienia być może byłoby szkodliwe, dlatego że mogłoby zostać potraktowane jako zemsta, więc my cię ułaskawimy, żeby wszyscy widzieli, co zrobiłeś.

Żeby było ułaskawienie, potrzebne jest jednak osądzenie...

Tak zawsze było, teraz już nie wiemy, bo prezydent zaczął ułaskawiać szybciej, przed osądzeniem. Najważniejsze jest jednak pokazanie faktów o naruszeniu prawa, by postawić tych ludzi pod pręgierzem opinii publicznej.

Ale kto miałby to zrobić? Raczej nie parlament, bo to byłoby działanie polityczne?

Wydaje mi się, że najlepszym sposobem na zdobycie zaufania ludzi jest pokazanie, że to wszystko, co tłamsił PiS, opozycja chce przywrócić do rozkwitu, np. media i ich wolność powinny być po tych wyborach hołubione. Oczywiście nie urodziłem się wczoraj i wiem, że te wszystkie narzędzia kontroli mediów publicznych są łakomym kąskiem dla każdej władzy. Dlatego tym bardziej opozycja uliczna czy dziennikarze muszą pokazywać, że najlepiej byłoby, gdyby informacje o tym, co się działo przez ostatnie cztery lata, zostały udostępnione mediom do niezależnej analizy.

Mówił pan, jak ważne jest, by praworządność była obecna w sercach i umysłach ludzi. Czy nowa władza powinna podjąć jakieś działania edukacyjne mające rozwijać społeczeństwo obywatelskie?

Na pewno jest wiele do zrobienia, tylko wydaje mi się, że kierunek powinien być

odwrotny. Nie od władzy powinno się zaczynać, ale od obywateli. Na spotkaniach, które odbywam, zawsze jest taki moment, że pytam „Czy u was w domu obowiązuje zasada trójpodziału władzy?” czyli – gdy podejmujecie decyzję, o wyjeździe na wakacje na przykład, to ojciec mówi „nie pyskuj gówniarzu, dzieci i ryby głosu nie mają, jedziemy nad morze”? Wtedy pojawia się śmiech, ale i kiwanie głowami. Władza autorytarna bywa porównywana do rodziny surowego ojca. A większość z nas wychowuje się w takich rodzinach i potem się dziwimy, że młodzi ludzie podziwiają autorytet władcy.

Dzięki rozwojowi technologii mamy szansę, żeby każdy z nas stał się edukatorem, bo każdy na czymś się zna. Trzeba pisać na Facebooku albo założyć kanał na YouTube i tłumaczyć. „Wiadomości” TVP ogląda ok. 2 mln osób, a dwuminutowy filmik Adama Strzembosza, w którym wzywał prezydenta Dudę do weta, w ciągu jednego dnia obejrzało 2,5 mln ludzi.

Sam zakładałam kanał edukacyjny na YouTube, gdzie będą krótkie filmiki o trójpodziale władzy i praworządności. Zachęcił mnie syn, który pilnuje każdego nagrania, żeby nie było nudne i, co ciekawe, by było apolityczne. Powiedział, że jeśli zacznę przechodzić na jedną ze stron, to młodzi ludzie przestaną mnie słuchać, bo będą podejrzewać manipulację. Autentyczność może być kluczem, żeby do nich dotrzeć.

I na koniec – ile jest wart jeden głos w wyborach?

Stwierdzenie „mój głos i tak nic nie zmienia” jest wygodne i zaraźliwe, bo powoduje, że jeśli ktokolwiek z nas je wypowie, to prawdopodobnie obniża liczbę głosów nie tylko o swój, ale także o głos rozmówcy. I to się szerzy jak wirus. Bardzo nie lubię tego stwierdzenia, bo po pierwsze są sytuacje, kiedy jeden głos decyduje, a po drugie ono zniechęca do aktywności w sferze publicznej, a to jest podstawa, zwłaszcza kiedy państwo zaczyna wchodzić w nasze życie prywatne. Dlatego trzeba przeciwdziałać przeciwnym stwierdzeniem – każdy głos się liczy, bo przecież nie wiadomo, jaki będzie wynik. ■

PROPAGANDA STARA JAK ŚWIAT

Odkąd istnieje ludzkość, rządzący chcieli kontrolować myśli i emocje poddanych. Z biegiem czasu zmieniały się metody, ale cel pozostawał ten sam – zapewnić sobie jak największe rzesze wiernych i bezkrytycznych zwolenników.

Maria Lewandowska



fot. pixabay.com

Wszyscy wiedzą, jak mają myśleć. Nikt nie słucha żadnych przeciwnych, choćby najbardziej racjonalnych argumentów, bo „przecież to propaganda”. A to właśnie jest propaganda i o to w niej chodzi, żeby nie myśleć, tylko poddawać się emocjom, żeby uwierzyć w przekaz, a jeśli fakty mówią co innego, to tym gorzej dla faktów.

Współcześnie jest wszechobecna. Uważamy, że jest samym złem, nadając jej

ka propagare. Wbrew pozorom nie wiąże się on z polityką, tylko z rolnictwem. Oznacza rozsadzanie, czyli rozmnażanie i zakorzenianie różnych gatunków roślin.

Niewinny czasownik z czasem nabrał jednak zupełnie innego znaczenia. Owo krzewienie zaczęło bowiem dotyczyć nie roślin, a idei i postaw. Stało się to mniej więcej w XVII wieku. W takim znaczeniu słowa propagandum użył papież Grzegorz XV, który w 1622 r. ustanowił Kongregację Rozkrzewiania Wiary (Congregatio de Propaganda Fide), mającą zajmować się krzewieniem wiary w nowo odkrywanych krainach i wykorzenianiem herezji. Działania Kongregacji sprawiły, że słowo propaganda zaczęło oznaczać „zdobywanie zwolenników dla nowej głoszonej prawdy”. I tak od rolnictwa propaganda przeszła do uprawiania dusz. Nad tym, by doprecyzować, czym jest i na czym polega, od z górą stulecia łamią sobie głowy socjologowie, językoznawcy, politycy ale także, co może mniej oczywiste, artyści i biznesmeni.

Okazało się bowiem, że propaganda jest skuteczniejsza od perswazji. Ta druga wywodzi się ze starożytnej sztuki retoryki i odwołuje zarówno do intelektu, jak woli i emocji przekonywanego. Perswazja jest nakłanianiem do podejmowania działań, które w przyszłości nie mogą narazić na szkodę przekonywanego. To apelowanie, dowodzenie słuszności danych racji, sugerowanie rozwiązań. Celem jest zaś pozyskanie dla danej sprawy jak największej liczby odbiorców i wywarcie na nich wpływu.

Znakomicie opisał to w 1931 r. William Biddle, amerykański psycholog i socjolog: „Pod wpływem propagandy każda

jednostka zachowuje się tak, jak gdyby jej reakcje były wynikiem jej własnej decyzji. Wiele jednostek można zmusić do takiego samego zachowania, przy czym każdą pozornie kierują jej własne sądy”. Słowa „jak gdyby” i „pozornie” są tu kluczowe. W przeciwieństwie do perswazji, propaganda odwołuje się bowiem przede wszystkim do emocji, a nie rozumu. „Propagandę rozumie się jako specyficzną formę pobudzeń, która – jeśli jest skuteczna – daje w wyniku proces sugestii” – konkluduje badacz.

Z założenia jest masowa i niekoniecznie zgodna z interesami odbiorców. „Propagandę można zdefiniować jako sztukę zmuszania ludzi do robienia tego, czego by nie robili, gdyby dysponowali wszystkimi danymi dotyczącymi sytuacji” – pisał Lindley Fraser, wykładowca z Oksfordu, który był również praktykiem. W czasie II wojny światowej i po niej tworzył niemiecki serwis BBC, jeden z 43 nieanglojęzycznych serwisów, nazywanych „propagandowym ramieniem aliantów”. Dzięki nim w okupowanej Europie dostępne były inne informacje niż te, które produkował propagandowy aparat III Rzeszy, obejmujący nie tylko prasę i radio, czyli informacje, ale także kinowe filmy, literaturę, sztukę, a nawet architekturę. Okazało się bowiem, że nośnikiem propagandy może być niemal wszystko, co dociera do masowego odbiorcy.

Garth Jowett i Victoria O’Donnel w fundamentalnym dziele „Propaganda i perswazja” z 1986 r. definiują propagandę jako „celową i systematyczną próbę kształtowania percepcji i manipulowania myślami i bezpośrednimi zachowaniami w celu osiągnięcia takich reakcji, które są zgodne z pożądanymi intencjami propagandyzisty”. Od tej pory słowo propaganda oznacza nie tylko, co nią jest, ale także – jak się ją robi.

Liczy się zasięg

Jan Parandowski w „Alchemii słowa” słusznie pisze, że „propaganda nie czekała swej nazwy, by zacząć istnieć i działać”, jednak do połowy XV w. propagandyści mieli pod górkę. Mogli głosić mowy wśród ograniczonej liczby odbiorców.

Uliczne teatrzyki, bardowie wyśpiewujący pieśni sławiące władców czy cięte polityczne pamflety błaznów miały zasięg ograniczony. Wynalazek druku zmienił wszystko. Dzięki niemu polityczne i społeczne idee mogły docierać do dużego grona odbiorców.

Władcy coraz bardziej zaczęli zdawać sobie sprawę z siły propagandy. Maksymilian I w Niemczech czterokrotnie rozmnożył liczbę czasopism i książek sławiących jego panowanie. Ludwik XIV założył pierwszą francuską gazetę, utrzymywał grono pisarzy, artystów, rzeźbiarzy, poetów i muzyków, którzy pracowali na wizerunek władcy. Etos, patos, symbol (nazwany później logiem) stały się fundamentami propagandy, na których budowano gigantyczny gmach emocji.

W czasie Wielkiej Rewolucji Francuskiej powstał pierwszy w świecie Urząd Propagandy. Do historii przeszły narodowe kokardy, marsze, Marsylianka, hasło „Wolność, Równość, Braterstwo” – symbole, które z czasem stały się znakomitą usprawiedliwieniem wszelkich działań podejmowanych w ich imieniu, także tych sprzecznych z pierwotnymi ideami Rewolucji.

Stara treść, nowa forma

Ten mechanizm pozbawiania znaczeń słów i symboli i podstępne zastępo-

wania ich zupełnie innymi treściami bądź zgoła brakiem treści znakomicie opisał George Orwell w powieści „Rok 1984” z 1949 r. – w czasie, kiedy propagandowa machina ogarnęła wszystkie zakątki świata i niemal wszystkie dziedziny życia. Od gospodarstw domowych, w których czytelniczki modnych magazynów musiały mieć „taką właśnie lodówkę”, po polityczne salony i wojenne fronty, gdzie decydowano o losach świata.

W 1937 r. Edward Filene, amerykański biznesmen i filantrop, Kirtley Mather, wykładowca z Harvardu i Clyde Miller, profesor z Uniwersytetu Columbia, założyli Instytut Analiz Propagandy, uznając, że jedynym orężem w walce z propagandą i jej skutkami jest znajomość jej mechanizmów.

Opisane przez nich zabiegi – m.in. używanie nazw negatywnie nacechowanych, by obrzydzić ludziom jakąś ideę, odwołania do prostego człowieka i normalności, popieranie idei przez celebrytów, wytwarzanie poczucia osamotnienia u odbiorców, którzy jeszcze nie przystąpili do sprawy, używanie słów o silnym ładunku emocjonalnym, selekcja informacji tak by przedstawić tylko jedną stronę sporu – do dziś stosują propagandyści, którzy zyskali nową amunicję do „krzewienia idei” w postaci telewizji i Internetu. ■



fot. pixabay.com

BUDŻET WYBORCZY ANNO DOMINI 2019

Ewa Sadowska-Cieślak



fot. pixabay.com

Mija czwarty, ostatni w tym cyklu wyborczym rok rządów Prawa i Sprawiedliwości, które miało wyjątkowe szczęście rządzić w okresie niezwykle wysokiej koniunktury gospodarczej na świecie, z czego korzystała także polska gospodarka dzięki silnym powiązaniom z gospodarkami krajów członkowskich Unii Europejskiej i innych krajów wysokorozwiniętych, szczególnie z gospodarką niemiecką do której polscy

przedsiębiorcy kierowali ponad 27 proc. eksportu liczonego w walucie euro.

W okresie dobrej koniunktury odpowiedzialni rządzący reformują obciążone zazwyczaj długami budżety, przygotowując kraj na gorsze czasy przez spłacanie starych długów i niezaciąganie nowych, konsolidując budżety a także przez prowadzenie polityki skutkiem, której jest zmiana struktury gospodarki na nowocześniejszą.

Dowodem na potwierdzenie tej tezy jest fakt, że w 2018 roku 14 krajów członkowskich Unii Europejskiej odnotowało nadwyżkę budżetową w relacji do PKB (produkt krajowy brutto). Największą odnotował Luksemburg (+2,4 proc.), kolejne były: Bułgaria i Malta (po +2,0 proc.), Niemcy (+1,7 proc.), Holandia (+1,5 proc.), Grecja (+1,1 proc.), Czechy i Szwecja (po +0,9 proc.), Litwa i Słowenia (po +0,7 proc.), Dania (+0,5 proc.), Chorwacja (+0,2 proc.) i Austria (+0,1 proc.) oraz

Irlandia (+0,01 proc.). Niemcy od 2014 roku regularnie generują stosunkowo niewielką - jak na skalę gospodarki - nadwyżkę budżetową. W roku 2015 niemiecka nadwyżka fiskalna wyniosła 19,4 mld euro, w 2016 wzrosła do 25,7 mld euro a w 2018 r. do ok. 30 mld euro. W ciągu 8 lat dług publiczny Niemiec spadł z poziomu 81,8% PKB (2010) do 60,9% (2018). Można? Można.

Z danych Eurostatu wynika, że w strefie euro relacja deficytu budżetowego do PKB spadła z 1 proc. w 2017 r. do 0,5 proc. w 2018 r., natomiast w całej Unii Europejskiej z 1 proc. do 0,6 proc.. Zmniejszyła się także relacja długu publicznego do PKB - w SE z 87,1 proc. na koniec 2017 r. do 85,1 proc. na koniec 2018 r., a w UE28 z 81,7 proc. do 80,0 proc.

A w Polsce?

A w Polsce – niestety – rząd PiS nie tylko nie reduktował starych długów, ale także - przy wzroście gospodarczym przekraczającym 4,8 proc. w roku 2018 - zaciągał nowe, rozdając pieniądze różnym grupom społecznym, tym, którzy wsparcia potrzebują, ale także i tym, którzy świetnie sobie radzą bez żadnych 500 ani innych plusów, co gorzej – pomijając faktycznie potrzebujących – na przykład osoby niepełnosprawne, rodziców samotnie wychowujących dzieci, zaniedbując inwestycje w ochronę zdrowia i wprowadzając chaos do systemu edukacji.

Tym sposobem deficyt budżetu (sektora finansów publicznych) sięgnął minus 1,5 proc. PKB w roku 2017 i minus 0,4 proc. PKB w 2018 a w roku 2019 ma wynieść 1,8 proc..

I nagle – w czwartym roku sprawowania władzy, tuż przed wyborami parlamentarnymi, rząd Prawa i Sprawiedliwości przedstawia projekt budżetu na rok 2020 – bez deficytu! Ale i bez nadwyżki – niestety. Cud czy manipulacja? Raczej to drugie.

Jak wskazują analitycy Fundacji Obywatelskiego Rozwoju (FOR) – cudowne „zrównoważenie” budżetu opiera się na dochodach jednorazowych (które mają stanowić równowartość ok.1% PKB)

i dotyczy wyłącznie budżetu państwa, który stanowi połowę całego sektora finansów publicznych i na podniesieniu składek ZUS, przede wszystkim dla najlepiej zarabiających (co ma stanowić równowartość 0,8% PKB).

Jednorazowe dochody mają pochodzić z likwidacji OFE - na skutek czego do budżetu trafi 15-proc. podatek od wartości składek tych osób, które zdecydowały się przenieść swoje składki emerytalne na prywatne indywidualne konta emerytalne. Natomiast jeśli ktoś zdecyduje się przekazać swoje składki z OFE do ZUS, to cała przekazana suma pozwoli zmniejszyć w przyszłym roku dotację do ZUS.

Jednocześnie projekt budżetu zakłada skokowy wzrost składek emerytalnych na skutek planowanej likwidacji rocznego limitu wpłat tych składek na ZUS, wynoszących dotąd wysokość 30-krotności przeciętnego wynagrodzenia. Jak wliczyli analitycy FOR – w efekcie tego zabiegu płać osób zarabiających ponad 5,7 tys. zł netto miesięcznie będzie powyżej tego progu obciążona aż 52% podatków i składek. Efekt netto likwidacji limitu wysokości składek jest szacowany na dodatkowe 5,2 mld zł wpływów do ZUS.

Ponadto projekt budżetu przewiduje podniesienie akcyzy na alkohol i papierosy oraz wielu innych podatków.

W „zrównoważonym” budżecie nie zmieściła się już trzynasta emerytura. Co z tego wynika dla polskiej gospodarki i polskich przedsiębiorców? Rząd, projektując budżet, zdecydował się na bezpośrednie wspieranie konsumpcji w postaci gigantycznych transferów społecznych, zamiast wspierać potencjał gospodarczy poprzez obniżanie kosztów pracy, co jest szczególnie ważne w obliczu nadchodzącego spowolnienia gospodarczego w gospodarce światowej.

Wyższe składki na ZUS oraz wprowadzenie emerytalnych planów kapitałowych będą stanowiły dla przedsiębiorców nowy, dodatkowy koszt, co może ograniczać skłonność do inwestowania, a to zła wiadomość z punktu widzenia budowania potencjału gospodarki na przyszłość.

Wysokie podatki dla przedsiębiorców i najlepiej zarabiających specjalistów będą zniechęcały do pracy w Polsce najbardziej wykwalifikowanych specjalistów, od których pracy w dużym stopniu zależy innowacyjność gospodarki. Taka zmiana będzie także zniechęcać do rzetelnego płacenia składek ZUS i może prowadzić do przesuwania przynajmniej części działalności do szarej strefy.

W efekcie - po wyeliminowaniu dochodów jednorazowych i uwzględnieniu całości wydatków, deficyt wyniesie 1,3% PKB – czyli pozostanie daleko od trwałej naprawy finansów publicznych.

Kolejnym rządowi pozostaną do sfinansowania gigantyczne sztywne wydatki socjalne, na które jednorazowych wpływów raczej nie będzie.

I zapewne dlatego rynki finansowe nie potraktowały projektu budżetu poważnie – czego dowodem jest fakt, że słabnący złoty po ogłoszeniu tego cudownego projektu wcale się nie wzmocnił.

Jak oceniają analitycy FOR – „niewykorzystanie silnej koniunktury gospodarczej w gospodarce światowej w ostatnich 4 latach do zrównoważenia budżetu pozwala sądzić, że nie jest to priorytet rządu PiS. W ostatnich 4 latach większość nowej przestrzeni fiskalnej stworzonej przez szybki wzrost gospodarczy rząd wydał zamiast przeznaczyć na trwałą naprawę finansów publicznych. W rezultacie osiągnięte ograniczenie deficytu sektora finansów publicznych było tylko nieznacznie większe od średniej UE, pomimo relatywnie wysokiego deficytu w punkcie startu w 2015 roku. W najbliższych latach hamującej koniunktury gospodarczej w Europie i następnych latach spadającej w Polsce podaży pracy podsyconej przez obniżenie wieku emerytalnego, konsolidacja finansów publicznych będzie coraz trudniejsza”.

Reasumując: projekt „zrównoważonego” budżetu to „kiefbasa wyborcza” i to dla niefachowców, a co z niego zostanie – zdecydują wyborcy 13 października. ■

PRAWO WSTECZ!

– CZYLI DRAMAT W SIEDMIU AKTACH

Przygotowany przez resort sprawiedliwości projekt nowelizacji kodeksu karnego okazał się wyjątkowym bublek prawnym, nawet jak na wątpliwe standardy legislacyjne obecnej ekipy rządzącej.

Martin Groeger



fol. pixabay.com

Akt I „bez żadnego trybu”

Na fali wzburzenia po emisji pamiętnego filmu braci Sekielskich powstała potrzeba uwiarygodnienia się rządu w walce z nadużyciami seksualnymi, ale z naciskiem na zwalczanie problemu w ogóle, byle tylko nie walczyć z kościołem. W tym celu z czeluści ministerstwa sprawiedliwości wypłynął bardzo obszerny, gruntownie

zmieniający większość dotychczasowych przepisów, projekt zmian w kodeksie karnym. Co dziwi najbardziej, nowelizacja ta – choć obejmuje zastrzeżenie kar za niemal wszystko – nie przewidywała podniesienia progu kary za przestępstwo z art. 240 – czyli za niezawiadomienie o enumeratywnie wskazanych ciężkich przestępstwach, w tym przestępstwach molestowania i gwałtu na osobach nieletnich.

Akt II Miażdżąca opinia

Ustawę procedowano z pogwałceniem regulaminu Sejmu, nakazującego zachować co najmniej 14 dni odstępu między pierwszym a drugim czytaniem ustawy zmieniającej m.in. kodeksy – ówczesny marszałek Marek Kuchciński uznał bowiem, że nie jest to ustawa zmieniająca kodeks (sic!). Mimo zaskoczenia i niespotykanego tempa prac w Sejmie, ustawa

utknęła w Senacie. Wprowadzono wówczas do niej tak szeroki zakres poprawek, że pojawiła się wątpliwość, czy Senat nie zaprezentował zupełnie nowej ustawy.

Ustawę bowiem w miażdżący sposób zdążyli – mimo bardzo krótkiego terminu – zaopiniować karniści z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jeszcze przed czytaniem w Senacie stało się jasne, że projekt jest pełny błędów, a motywem przewodnim nowelizacji jest zaostrzanie kar właściwie za wszystko. Niektóre z uchwyconych błędów groziły wręcz masową depenalizacją czynów, za które karę miały zaostrzyć. Zmieniono bowiem znamiona części czynów zabronionych i to w taki sposób, że wykreślono ich dotychczas obowiązujące brzmienia. W rezultacie pewna część skazanych mogła się domagać natychmiastowego zwolnienia z więzienia, jako że przestał istnieć w kodeksie karnym czyn zabroniony, za który zostali skazani.

Projekt znosił na przykład karalność czynu polegającego na zmianie wskazania licznika kilometrów pojazdu mechanicznego lub ingerowaniu w prawidłowość jego pomiaru, oraz zlecaniu innej osobie wykonania takich czynów (obecny art. 306a k.k. zastąpiony znowelizowanym art. 306a k.k.) oraz znosił karalność czynu polegającego na doprowadzeniu małoletniego do lat 15 do obcowania płciowego (obecny art. 200 § 1 k.k., znowelizowany art. 200 § 1-4 k.k.), w ten sposób zawężając odpowiedzialność za przestępstwa pedofilskie względem obecnego stanu prawnego. To tylko część zarzutów, jakie postawili krakowscy karniści, niewątpliwie obnażających rażącą niekompetencję twórców projektu nowelizacji. Ponadto wskazano, że nowelizacja łagodzi kary za niektóre odmiany korupcji.

Akt III Pozew za dyskusję

Autor projektu nowelizacji pozostaje nieznan. Jednakże osobiście dotknięty minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro w dość gwałtownym wystąpieniu nazwał opinię Krakowskiego Instytutu Prawa Karnego „kłamstwem i oszczerstwem” oraz zapowiedział pozew o ochronę dóbr osobistych. Następnego dnia wycofał się z pozwu, jednocześnie podkreślając, że

zdania nie zmienia i podtrzymując oskarżenie krakowskich karnistów o kłamstwo i oszczerstwo.

Akt IV Refleksja Senatu

Pomimo dołożenia wszelkich starań, by ustawę przeprowadzono przez cały proces legislacyjny w ciągu kilkunastu godzin, wskutek miażdżącej opinii w Senacie prace ustawodawcze spowolniły. Senat przyjął poprawki obejmujące 105 z 363 artykułów kodeksu i zmieniające większość proponowanych zmian do tego stopnia, iż de facto zaproponował nową ustawę. Jednocześnie na jaw wyszły kolejne buble, takie jak ograniczenie możliwości stosowania zawieszenia kary, puste pojęcie kradzieży pieniądza elektronicznego czy też zaostrzenie kary za nieumyślne spowodowanie śmierci. Przepis ten uderza w lekarzy, którym w razie błędu skutkującego śmiercią pacjenta groziłoby więzienie. Trudno tu nie dostrzec analogii do toczących się latami procesów karnych wytoczonych przez Zbigniewa Ziobrę lekarzom, którzy nie zdołali w 2006 r. uratować życia jego ojcu.

Akt V Ukryta krytyka

W trakcie prac Senatu zostały ujawnione także bardzo krytyczne opinie pozostałych ministerstw.

MSZ zauważył „zmiany (...) przewidziane w opiniowanym projekcie, przewidujące obligatoryjne oraz fakultatywne wyłączenie przedterminowego zwolnienia w przypadku dożywocia, mogą być uznane za sprzeczne ze standardami prawnocząłowiecznymi, wypracowanymi w utrwalonym orzecznictwie Trybunału w Strasburgu, co może zostać uznane za naruszenie art. 3 Konwencji”. Ten sam zarzut podnieśli naukowcy.

Projekt skrytykował także Ministerstwo Finansów, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych a nawet Krajowa Rada Sądownictwa, wszak obsadzona sprzyjającymi ministrowi osobami.

Opinie te powinny być dostępne dla posłów, jednakże opublikowano je dopiero po skierowaniu przegłosowanego przez

Sejm projektu do Senatu. Opinie te potwierdzają zarzuty podniesione przez karnistów z UJ, za które minister chciał ich pozywać.

Akt VI Decyzja prezydenta

Prezydent, prawdopodobnie ze względu na wizerunek partii, którą reprezentuje, postanowił przekazać ustawę Trybunałowi Konstytucyjnemu do kontroli prewencyjnej. Na chwilę pisanie tego tekstu nie został wyznaczony termin rozpoznania sprawy, choć w poprzednich kadencjach Trybunału takie wnioski miały priorytet. Warto jednak pochylić się nad samą treścią wniosku prezydenta. Prezydent RP żąda w nim stwierdzenia niekonstytucyjności w całości ze względu na wadliwy proces legislacyjny, ewentualnie w razie nieuwzględnienia powyższego o zbadanie jednego z artykułów nowelizacji w przedmiocie definicji osoby publicznej i organizacji krajowej, co wiązało się z zarzutem podmiotowego wyłączenia karalności niektórych rodzajów korupcji.

Niewątpliwie już pierwszy z podniesionych zarzutów jest wystarczający, by stwierdzić niezgodność ustawy z konstytucją w całości, bez potrzeby badania jakości samych przepisów. Jednakże Trybunał Konstytucyjny w obecnym kształcie nie działa w sposób obiektywnie przewidywalny, ponadto orzeczenie w sprawie mogą wydać nie – sędziowie, co jeszcze bardziej skomplikuje sytuację.

Akt VII w zawieszeniu

Sam rząd obecnie zdaje sobie sprawę, że ta nowelizacja nie będzie korzystna. Jednakże czy to wystarczy, by Trybunał, kierowany przez Julię Przyłębską – „towarzystwie odkrycie” Jarosława Kaczyńskiego – uznał ją za niekonstytucyjną? W państwie postawionym na głowie wszystko jest możliwe. Na razie nic nie wskazuje na to, że Trybunał rozpozna wniosek prezydenta przed nadchodzącymi wyborami. Będzie to ostatni, siódmy akt dramatu o jednej ustawie firmowanej przez PiS, a skupiającej w sobie wszystkie grzechy niechlujnej legislacji, jaka w sejmie dobiegającej kadencji jest smutnym standardem. ■

DLACZEGO W POLITYCE RZUCANIE KAMIENIAMI W DINOZAURA NIE MA SENSU...

Maciej Milczanowski



fot. pixabay.com

Polityków można (na potrzeby tego tekstu) podzielić na dwie grupy: kreatywnych, samodzielnych, charyzmatycznych, którzy są oczywiście w mniejszości oraz kopiujących zachowania innych, bez zdolności przywódczych, bez charyzmy, których jest wielu. Nie twierdzę, że ci drudzy są gorsi albo, że ci pierwsi są zawsze świetni. Można wskazać wiele przykładów historycznych i współczesnych ludzi charyzmatycznych, którzy nie przynieśli w ostatecznym rozrachunku powodzenia ani światu,

regionowi ani nawet swojej grupie czy też sobie samym. Z drugiej zaś strony na „rzemieślnikach” opiera się każda struktura społeczna, organizacja, partia.

Niemniej, aby partia polityczna odnosiła sukcesy, na jej czele musi stać lider o wyjątkowych kompetencjach. Wszak, jak miał powiedzieć Napoleon, „armia baranów prowadzona przez lwa jest silniejsza niż armia lwów prowadzona przez barana”. Inaczej bowiem, rzemieślnik, który lideruje w wyniku intryg, czy zbiegu oko-

liczności, wymuszając posłuch za pomocą autorytetu formalnego (wynikającego ze stanowiska a nie własnych cech i kompetencji) z każdym miesiącem będzie coraz bardziej sfrustrowany, nie rozumiejąc dlaczego nie odnosi sukcesów. Jego otoczenie natomiast będzie coraz bardziej zastraszone przez dwór (który zawsze wokół takich osób powstaje) i zrezygnowane. Partia zaś stopniowo będzie upadać w wyniku wewnętrznych konfliktów i braku sukcesów na arenie krajowej. Taki „lider” stosuje najprostsze mechanizmy

nie rozumiejąc złożonych, interdyscyplinarnych strategii i nie ufając ludziom, którzy nie ograniczają się do pochwał, tylko konstruktywnie krytykują.

Taki lider nie jest w stanie narzucić własnej narracji w dyskursie publicznym, nie potrafi wykrzesać z siebie naprawdę nowego pomysłu, zaczyna więc kopiować posunięcia konkurencji, najlepiej tej, która odniosła sukces wyborczy. Oczywiście w takiej sytuacji tylko pograża się w stagnacji, bowiem dlaczego niby wyborcy mieliby głosować na kopię tego co już mają... A zatem gdy kopiowanie nie przynosi sukcesów, pozostaje nieustanna krytyka wcześniejszego zwycięzcy. „Lider” twierdzi, że jeśli odkryje i upubliczni wszystkie niegodziwości poprzednich rządzących, to sam zostanie wybrany do władzy.

W takiej sytuacji mamy do czynienia z tym, o czym mówiła pani Ewa Kopacz w studiu telewizyjnym. A więc rzucaniem kamieniami w wielkiego dinozaura aż ten padnie. Takie uporczywe rzucanie kamieniami z czasem ma zwierza osłabić, aż... „Dawid pokona Goliata”. Tyle, że gdyby Dawid chciał Goliata pokonać w ten sposób to ich pojedynek zakończyłby się inaczej niż opisano to w Biblii.

Opozycja przegrywając kolejne wybory wciąż kontynuuje rzucanie kamieniami (w rządzących), twierdząc, że dotąd widocznie rzucała za słabo albo za małymi kamieniami, skoro zwierz ciągle żyje. Niektórzy mówią o „długim marszu po władzę” (rzucanie kamieniami przez kolejne 4 lata), bo przeciwnik tak zrobił i mu się udało...

Takie myślenie pomija wiele istotnych różnic w uwarunkowaniach partii, które powodują, że wyborca nie zgłasza „podróbkę”, skoro już ma oryginał. Po drugie w takim działaniu jest istotna niekonsekwencja, bo to, że ktoś czyni źle, nie musi automatycznie oznaczać, że demaskator sam będzie lepszy. Wyborca zatem, nawet przyjmując tę narrację, że „źli ludzie rządzą”, próbuje dowiedzieć się co proponuje opozycja. Zapewne w tym celu nie sięgnie po program, bo przecież wszelakie programy po 1989 roku już poznał i widział, jak mają się one do

rzeczywistości powyborczej, ale włączy telewizję, kupi gazetę, zda się na własny osąd - czy warto zaufać. Jeśli tam obserwuje „rzucanie kamieniami w dinozaura”, podczas gdy politycy nawet nie próbują mówić o własnym programie, to dojdzie do wniosku, że ten program jest kolejną wyborczą fikcją mającą zapewnić stanowiska w SSP, ciekawe podróże, limuzyny, a przede wszystkim upojne poczucie władzy. Wyborca zgłasza na tych, którzy są źli, ale coś mu dają. Skoro jednak w jego oczach jedni są wariaci drugich, to czy można mu zarzucać, że decydujący jest taki właśnie czynnik? Czy wreszcie zmiana i dobry pomysł niedługo przed wyborami może zmienić osąd takiego człowieka? Strategię opracowuje się na lata, a nie szuka pomysłów na finiszu i to w wyniku frustracji wynikającej z osobistej porażki.

Oczywiście w pewnych okolicznościach rzucanie kamieniami może się „powieść”, bo dinozaur może paść ze starości, albo zwariować i sam pogryźć się na śmierć. W obu przypadkach będzie można odtrąbić sukces, jednak byłby to sukces bardzo wątpliwy, można powiedzieć - propagandowy. Przecież to dinozaur sam się wykończył.

Prawdziwy lider, będzie szukał nowych pomysłów, a nie narzekał w radiu, że trzeba by ich poszukać, nie zarzuci, że ci którzy gdzieś tam zgłoszowali na jego partię musieli być przyjezdni... Prawdziwy lider każdą okoliczność potrafi wkomponować w posiadaną strategię, a swoim kunsztem przywódczym „zapali” innych w myśl hasła Ludwiga Hirszfelda - „Kto chce zapalać innych sam musi płonąć”.

Lider, który mówi: „ja naprawdę chcę wygrać wybory”, w zasadzie sugeruje: „chciałbym, ale nie potrafię”. Prawdziwy przywódca powie: „Ja wygram wybory”.

Przywódca nie zastanawia się nagle nad zupełnie nową strategią, on ją ma. Strategia to nie jest dokument, na którym opiera się swój plan na miesiąc przed wyborami. Strategia jest powiązana z filozofią, kształtuje doktrynę i sięga znacznie dalej niż wybory. I tylko wtedy jest wiarygodna. Lider obserwując sytuację, potrafi strategię dostosowywać do zmieniają-

cych się uwarunkowań. Ponieważ strategię trzeba zmieniać, dostosowywać do aktualnych celów krótko i długofalowych oraz modyfikować wraz ze zmieniającą się sytuacją. Jest ona jednak ogólnym kierunkiem działań. Oprócz strategii, przywódca ma do dyspozycji także działania poziomu operacyjnego i taktycznego. Ta wielość czynników strategicznych dobrze i odpowiednio wcześniej zaplanowanych przez przywódcę, stopniowo odbiera inicjatywę przeciwnikowi. Przywódca zaczyna narzucać swoją narrację i nawet jeśli nie wszystko się powiedzie, cały czas jest w „natarciu”.

Wracając do dinozaura z naszego „case study”. Można wymyślić wiele sposobów na jego pokonanie - zastosować zasadzki, zagłodzić po wcześniejszym unieruchomieniu, próbować go oszukać, a wreszcie... kto wie, może ośwoić? Być może w ogóle nie trzeba z nim walczyć? Może się okazać, że dinozaur robi tylko groźne miny, a faktycznie jest roślinożerny i zupełnie niepotrzebnie się go boimy? Do tego jednak również potrzeba strategii. Trzeba wiedzieć po co walczy się z dinozaurem, co ma nastąpić potem, rozumieć jak tę walkę odbierze nasze plemię i plemiona okoliczne. Żeby nie okazało się, że to ostatni dinozaur na świecie i jest pod ochroną;-) Samo natomiast rzucanie kamieniami przez całe lata świadczy o fatalnym braku pomysłów, charyzmy... a wreszcie wiedzy o świecie... niezależnie od znajomości prehistorii. ■



fot. pixabay.com

DEMOKRACJA ODDOLNA W POLSCE - INICJATYWA OBYWATELSKA

Ruchy obywatelskie i partie polityczne w Polsce zaczynają powoli dostrzegać istotę demokracji oddolnej i potrzebę wprowadzenia jej instrumentów, niemniej jednak nie opisują w swoich programach wprowadzenia inicjatywy obywatelskiej.

Prof. Mirosław Matyja



fot. pixabay.com

Referendum jest najważniejszym instrumentem w ramach oddolnej demokracji, a więc takiej, w której prawdziwym decydemtem jest obywatel – rzeczywisty suweren państwa. Ale jak wiadomo, referendum nie bierze się „z powietrza”. Ktoś i w jakiś sposób musi głosowanie powszechne zainicjować. Takim instrumentem – obok weta obywatelskiego – jest inicjatywa obywatelska, która stanowi wyraz woli społeczeństwa/suwerena.

Inicjatywa obywatelska to narzędzie polityczne dające obywatelom oraz ugrupowaniom społecznym i politycznym prawo inicjowania zmiany konstytucji, a tym samym kreowania prawa. A jak wiadomo, obywatele najlepiej znają swoje problemy i bolączki.

Ciekawe jest to, że w Polsce od lipca 1999 r. obowiązuje ustawa o wykonywaniu inicjatywy ustawodawczej przez obywateli. Niestety, zawiera ona cały szereg przepisów, które bardzo ograniczają możliwość praktycznego jej zastosowania jako skutecznego instrumentu oddolnego wpływania obywateli na kształt prawodawstwa. W odróżnieniu od Szwajcarii, forma inicjatywy obywatelskiej funkcjonuje w Polsce na poziomie zmiany ustawy, a nie konstytucji.

Poza tym, polscy obywatele posiadają jedynie teoretyczną możliwość zmiany polskiego prawa w ramach zgłaszania inicjatywy ustawodawczej. Dlaczego? Ponieważ ostateczna decyzja podejmowana jest w Sejmie, a nie w ramach referendum. Polska inicjatywa ma więc de facto charakter petycji obywateli do rządzących polityków, natomiast Polacy tracą kontrolę nad własnym pomysłem i przyjmują rolę biernego obserwatora.

Inicjatywa obywatelska jako narzędzie demokracji oddolnej powinna mieć charakter kreujący i innowacyjny. Jako instrument oddolny winna wyrastać ze społeczeństwa, a jej rezultatem powinno być bezprogowe i wiążące referendum, gdzie społeczeństwo miałoby ostateczny głos decyzyjny.

Za cel inicjatywy uznać trzeba wprowadzenie zmian lub uzupełnienie zapisów w Konstytucji, a przyjęcie ustawy. Tak więc pozytywne przegłosowanie danej inicjatywy w referendum zawsze powinno prowadzić do nowego bądź modyfikacji już istniejącego zapisu w konstytucji.

W Polsce niestety oddolna demokracja kończy się na zebraniu podpisów 100 tysięcy obywateli.

Należałoby na nowo określić liczbę podpisów w ramach inicjatywy obywatelskiej i czas ich zbierania. Wydaje się, że realistyczna liczba to 500 tys., a okres ich zebrania powinien wynosić – porównywalnie ze Szwajcarią – 18 miesięcy. Jest to czas potrzebny na to, aby przeprowadzić akcję agitacyjną w różnych środowiskach społecznych i politycznych.

I tu leży cały fenomen demokracji oddolnej, która powinna być ciągle obecna w społeczeństwie. Można sobie oczywiście wyobrazić różne inicjatywy, które nie dążyłyby do zmiany istniejącego zapisu w Konstytucji, lecz do wprowadzenia nowego, np. zapisu dotyczącego pociągnięcia do odpowiedzialności przestępców gospodarczych, zakazu prywatyzacji zakładów przemysłowych, sprzedaży polskich instytucji finansowych obcokrajowcom, procentowego limitu liczby obcokrajowców na terytorium Polski, uregulowania chaosu frankowiczów albo....zmiany ordynacji wyborczej z niedemokratycznej na demokratyczną itp. Przykłady można by tu mnożyć.

Niestety, wielu polityków w Polsce nie docenia albo nie rozumie istoty inicjatywy obywatelskiej – są tacy, którzy propagują w swoich programach jedynie referendum i nie zastanawiają się, jak w ogóle ma dojść do tego powszechnego głosowania. Inni natomiast ciągle jeszcze nie doceniają roli obywatela/suwerena. A szkoda, bo inicjatywa obywatelska – generująca automatycznie bezprogowe i wiążące referendum – dałaby obywatelom szansę na aktywny udział w polskim procesie decyzyjnym. ■

O GŁOSIE!

Nie lubimy swojego głosu. Bywa, że nim gardzimy lub traktujemy lekceważąco. Zwykle go nie tracimy, tylko czasem, – jesienno-zimową porą, zaniemówimy. Mamy głos fizyczny i obywatelski, ale faktu tego nie doceniamy. Może dlatego, że nikt go nam na razie nie chciał zabrać?

Anna Schwerin

Jeszcze w ubiegłym wieku Międzynarodowy Dzień Muzyki przypadający 1 października był postrzegany jako istotny dla całego środowiska muzycznego. Ostatnio jednak święto to zagubiło się pośród innych wydarzeń. Niejako z urzędu dostrzega je ZAKS, który co roku właśnie tego dnia na uroczystej gali wręcza nagrody Koryfeusza Muzyki Polskiej.

Tegoroczny Międzynarodowy Dzień Muzyki odbywa się w cieniu wyborów do Sejmu i Senatu. I oto dwa pozornie niezwiązane wydarzenia połączyło wieloznaczne słowo-klucz: głos. W kampanii słowo to najczęściej pojawia się podczas spotkań z potencjalnymi wyborcami w kontekście pytania: czy odda pani/pan swój głos na mnie?

Odpowiedzi bywają różne, niemniej nasuwa się wniosek, że nie wszyscy mają świadomość tego, czym jest głos. A jest nie tylko najwspanialszym instrumentem świata, ale też przede wszystkim określa naszą osobowość i indywidualność. Gdyby głos był dla naszego gatunku bez znaczenia, ewolucja by sobie z nim poradziła równie skutecznie jak z ogonem. Mówiąc zatem, że mój głos nie ma znaczenia, sami siebie lekceważymy i umniejszamy.

Głos jest naszą wizytówką. Specjaliści na podstawie jego barwy, głośności, brzmienia, sposobu artykułowania słów mogą dopatrzeć się naszych skrytych sekretów i problemów. Wyjątkową specjalistką w tej dziedzinie jest Aneta Łastik, pedagog i piosenkarka, która opracowała własną, unikatową metodę pracy z głosem i opisała ją w książce „Poznaj swój głos”. Może właśnie dlatego politycy tak chętnie zatrudniają specjalistów z zakresu autoprezentacji i występów publicznych. Uczą się, jak czarować odbiorców głosem, jak odpowiednią intonacją uwiarygodnić kłamstwo lub ukryć prawdziwe intencje.

Jak niebezpieczne i uwodzicielskie może być działanie głosu, przekonał się chociażby Odyseusz, który przeżył śpiew mitycznych syren tylko dlatego, że był przywiązany do masztu swego statku.

Muzycznie kilka, kilkanaście lub kilkadziesiąt głosów tworzy chór, który harmonijnie wykonuje najbardziej skomplikowane dzieła kompozytorów. Połączone głosy śpiewaków i publiczności mogą zmienić rządy. Klasycznym przykładem jest historia „Va, pensiero” chóru z III aktu opery „Nabucco” Giuseppe Verdiego, które stało się nieformalnym hymnem Włochów dążących do zjednoczenia państwa w XIX wieku.

Nie tak dawno siłę naszych głosów i moc ciszy poznaliśmy również i my podczas społecznych protestów i wydarzeń po śmierci prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza.

Podziwiamy osoby swoją postawą i działaniami starające się przywrócić głos tym, którzy z różnych powodów są niesłyszalni. Są to osoby słabe, chore, niepełnosprawne, mniejszości, ofiary szeroko rozumianej przemocy, wreszcie zwierzęta. Ileż niekiedy trzeba odwagi, aby powiedzieć – jestem ich głosem.

Środowiska feministyczne od lat starają się na nowo odczytać historię – poprzez uwolnienie głosu kobiet żyjących na przestrzeni wieków, które współtworzyły lub inicjowały nieraz epokowe wydarzenia, a jednak ich głos został zapomniany (herstoria). W ten nurt doskonale wpisują się muzyczne działania Agnieszki Budzińskiej-Benett i jej zespołu Peregrina. Artystki nagrały płyty (Filia Praeclara, Cantrix) z utworami wykonywanymi przez średniowieczne zakonnice. Tym samym przypomniły, że chorał gregoriański nie był domeną męskich klasztorów.

A zatem nim kolejny raz niefrasobliwie zlekceważymy przywilej oddania głosu, przypomnijmy sobie słowa zatroskanej Pani Słowikowej z wiersza Juliana Tuwima – „piórka głupstwo, bo dorosną, ale głos – majątek”. ■

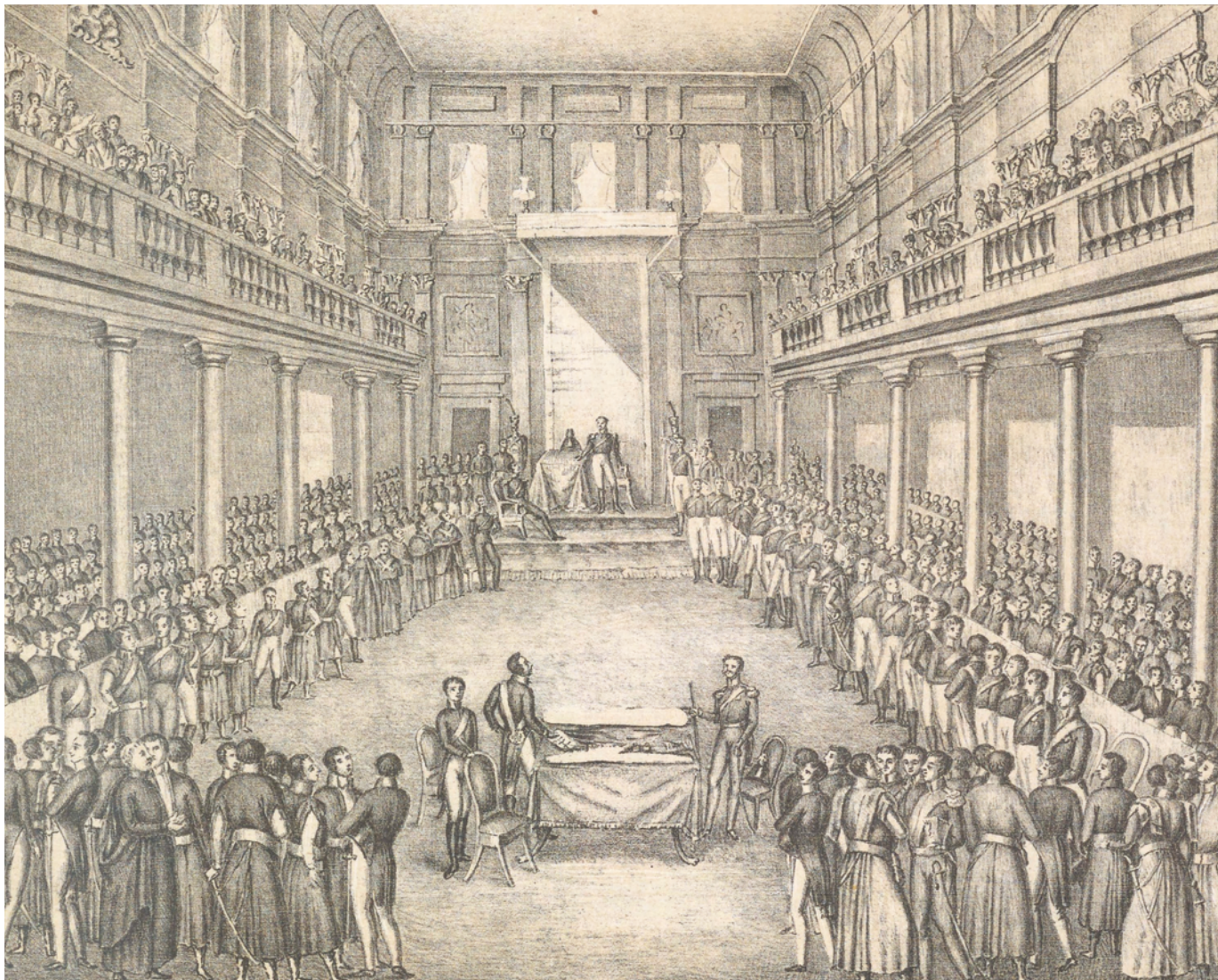


fot. pixabay.com

FREKWENCJA DECYDUJE O WYNIKACH

Udział w wyborach jest wyrazem odpowiedzialności obywatela za jego kraj. Rozumieli to Polacy w XIX wieku, gremialnie głosując na rodaków kandydujących do parlamentów państw zaborczych, a potem do sejmu odrodzonej Polski.

Maria Klawe-Mazurowa



Pierwszy Sejm Królestwa polskiego 1818r., źródło: polona.pl

Panowie majstrowie i wszyscy przełożeni powinni ludzi do wyborów prowadzić.(...)Nie zapominamy również o chorych i w podeszłym wieku, organizując przewóz do lokali wyborczych furmankami - pisano w XIX-wiecznej prasie poznańskiej. Celem agitacji wy-

borczej było zmobilizowanie tak wielu wyborców, aby polscy kandydaci mogli pokonać kandydatów niemieckich startujących z tych samych okręgów do parlamentu niemieckiego. Im więcej polskich wyborców poszłoby do urn, tym większe szanse mieli polscy kandydaci.

Wprowadzone po Wiośnie Ludów, w 1848 r., wybory do sejmu pruskiego nie były jeszcze w pełni demokratyczne. Dopiero przeprowadzone w 1871 r., do Reichstagu, parlamentu ogólnoniemieckiego, były już powszechne, tajne, równe i bezpośrednie. Polacy zamieszkujący zabór pruski uczestniczyli w nich na rów-

nych prawach z obywatelami narodowości niemieckiej. Mogli wystawiać swoich kandydatów, prowadzić agitację wyborczą i iść do urn. Prawo głosu nie przysługiwało kobietom – zarówno Niemkom, jak i Polkom.

W Wielkopolsce wybory do parlamentu polscy wyborcy traktowali jako patriotyczny i obywatelski obowiązek. Uczestniczyli w nich zazwyczaj w ok. 80 proc. Wysoka frekwencja wyborcza przekładała się na realne wyniki. Najbardziej spektakularny sukces Polacy osiągnęli w 1884 r. w Poznaniu, zamieszkanym po połowie przez ludność polską i niemiecką. Polski kandydat uzyskał 9800 głosów, a wszyscy kandydaci niemieccy razem tylko 4800 głosów. Prace w niemieckich Reichstagu i Landtagu ułatwiały przyszłym politykom wolnej Polski zdobywanie szlifów parlamentarnych. W pruskim parlamencie praktykował Wojciech Trąpczyński, pierwszy marszałek polskiego Sejmu Ustawodawczego, podobnie jak Wojciech Korfanty czy Zygmunt Seyda.

Niestety, tylko w zaborze pruskim możemy w XIX wieku mówić o tak spektakularnych, wynikających z wysokiej frekwencji, sukcesach wyborczych Polaków. W zaborze austriackim wprowadzili również od 1848 roku mieszkańcy wybierali swoich przedstawicieli, ale system wyborczy daleki był od demokratycznego. Społeczeństwo zostało podzielone na kilka kurii, zależnych od pozycji społecznej i majątkowej. Poza tym nie głosowano bezpośrednio na posłów, lecz na delegatów, którzy dopiero wybierali przedstawicieli do parlamentu.

Mimo skomplikowanego i niedemokratycznego systemu oraz wielu nieprawidłowości, opisywanych m.in. przez Wincentego Witosa, ruchom ludowym, dzięki bardzo wysokiej frekwencji, udało się wprowadzić do parlamentu w Wiedniu wielu posłów. Chociaż raczej dotyczy to okresu po 1873 r., kiedy wprowadzono wybory bezpośrednie. Podobnie jak w zaborze pruskim, tak i w Galicji przyszli politycy wolnej Polski zdobywali doświadczenie w oficjalnie działającym parlamencie (np. Wincenty Witos, Ignacy Daszyński, Jędrzej Moraczewski).

W zaborze rosyjskim w tym okresie car sprawował jeszcze władzę absolutną, nieograniczoną głosami poddanych. Przyszli premierzy polscy działali w tajnej Organizacji Bojowej, która była ich szkołą polityczną – Józef Piłsudski, Tomasz Arciszewski, Walery Sławek, Aleksander Prystor do parlamentu trafili dopiero po 1918 roku, już w zjednoczonej Polsce.

Parlamentaryzm w zaborze rosyjskim rozpoczął się pół wieku później niż w pozostałych zaborach, od dekretu o powołaniu Dumy Państwowej, wydanego na fali wydarzeń rewolucyjnych w 1905 r. Duma stała się załącznikiem rosyjskiego parlamentu i miejscem pozwalającym na zdobycie doświadczenia parlamentarnego niektórym politykom, zwłaszcza związanym z endecją, np. Władysławowi Grabskiemu, przyszłemu premierowi i reformatorowi systemu monetarnego w Polsce, kilkakrotnemu rektorowi SGGW w Warszawie.

Od 1916 r., mimo trwającej jeszcze wojny, politycy polscy planowali już powołanie sejmu w wolnym kraju. Pierwszy miał być Sejmem Ustawodawczym, czyli przygotowującym zasady funkcjonowania niepodległego państwa.

Działający od początków 1919 r. Sejm Ustawodawczy był jednoizbowy, a posłów wybierano w całkowicie demokratycznych wyborach, opartych na pięcioprzymiotnikowym prawie wyborczym. Wybory były powszechne – czynne prawo wyborcze przysługiwało wszystkim pełnoletnim obywatelom (21 lat) bez względu na płeć, narodowość, majątek i wyznanie (z wyjątkiem wojskowych w służbie czynnej); bezpośrednio, czyli każdy sam głosował na wybranego kandydata, a nie na elektorów; były też równe (każdy głosujący miał jeden równoważny głos) oraz tajne. Piąta zasada dotyczyła ostatecznego wyłaniania posłów. Ponieważ przyjęto, że kandydaci do sejmu wystawiani byli wg klucza partyjnego, każda partia otrzymała liczbę mandatów proporcjonalną do liczby uzyskanych głosów.

Wybory do Sejmu Ustawodawczego odbyły się 26 stycznia 1919 roku. Acz-

kolwiek władzę w kraju sprawował Piłsudski, jednak największe wpływy w społeczeństwie miała endecja. I tym razem duża frekwencja wyborcza przesądziła o wyniku wyborów i o kształcie Polski. Związek Ludowo-Narodowy pod wodzą Dmowskiego, przy frekwencji w granicach 70-80 proc. uprawnionych, uzyskał ponad 45 proc. mandatów. Zwolennicy Piłsudskiego, przy ograniczeniu prawa do głosowania wojskowych, nie byli w stanie ich pokonać. Mimo że Naczelnikiem Państwa pozostał Józef Piłsudski, jego władza została ograniczona do reprezentacyjnej. Uchwalona Mała Konstytucja pełniła władzę oddawała parlamentowi i podporządkowanemu mu rządowi. Utrwaliła to Konstytucja marcowa.

Kolejne wybory w 1922 r., przy znacznie niższej frekwencji, utrzymały przewagę endecji. Zawiązanie sprzyjającej Piłsudskiemu koalicji ugrupowań antyendekich i ponownie bardzo wysoka frekwencja (78 proc. głosujących) w wyborach w 1928 r. przechyliła szalę zwycięstwa w wyborach na rzecz Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem – BBWR. Jednocześnie jednak był to początek końca demokratycznego sejmu, którego kres nadszedł wraz z uchwaleniem Konstytucji kwietniowej w 1935 r. i tzw. rządami pułkowników.

Wybory po II wojnie światowej, wg danych publikowanych przez komunistyczne władze, miały jakoby odbywać się przy 98 proc. frekwencji. Publikacje te jednak nie miały się nijak do rzeczywistości. Dopiero wybory w 1989 r. odzwierciedlały rzeczywiste zaangażowanie społeczeństwa. W stosunku do lat po I wojnie światowej frekwencja przedstawiała się żałośnie. 45 lat komunizmu wytrzebiło w Polakach poczucie odpowiedzialności za państwo. Do urn wyborczych w 1989 r. poszło tylko niespełna 63 proc. wyborców. W wyborach parlamentarnych w następnych kadencjach, podobnie zresztą jak w samorządowych, frekwencja już nigdy nie przekroczyła 55 proc.

Może więc nadeszła już najwyższa pora, aby wziąć odpowiedzialność za Polskę i iść gremialnie do wyborów. Tak minimalnie, w 80 proc. uprawnionych do głosowania. ■

NASZA KANDYDATKA DO SEJMU: EWA KRAWCZYK-DĘBIEC



fol. Piotr Olczak

O mnie: Ewa Krawczyk-Dębiec, lat 47, żona i mama dwójki dzieci, aktywna zawodowo i społecznie. Brak przynależności partyjnej. Absolwentka wydziału prawa Uniwersytetu łódzkiego. Ukończone studia podyplomowe z zakresu audytu wewnętrznego i kontroli finansowej oraz organizacji i zarządzania. Ponad 20-letnie doświadczenie zawodowe, w tym ponad 10-letnie na stanowiskach eksperckich i kierowniczych. Od 2006 roku zawodowo związana z obszarem bankowości. Współwydawca społecznego miesięcznika „Nasze Czasopismo”. Dziennikarz obywatelski, współorganizator Kongresu Mediów Obywatelskich.

W Sejmie chcę:

1. być Obywatelskim Głosem dbającym o to, aby działalność naszego państwa i osób związanych ze sferą publiczną była

synonimem przejrzystości i etyki. Tylko takie państwo może zyskać zaufanie obywateli i urzeczywistniać zasadę sprawiedliwości społecznej oraz równości obywateli wobec prawa.

2. działać na rzecz małych i średnich firm. Silni przedsiębiorcy i sprawny aparat państwowy ułatwiający działalność gospodarczą, a nie przeszkadzający to więcej miejsc pracy i wzrost zamożności obywateli.

3. przyczyniać się do realizacji Programu Koalicji Obywatelskiej „Twoja Polska”:

- Polska Demokracja
- Polska Zdrowia
- Polska Dostatnia
- Polska Ekologii
- Polska Edukacji
- Polska Seniora

Program Koalicji Europejskiej do pobrania na stronie: www.koalicjaobywatelska.pl/program

Ewę poznałem dwa lata temu w związku z moim zainteresowaniem powołanym przez nią do życia miesięcznikiem „Nasze Czasopismo” i koniec końców dzięki temu zostałem jego naczelnym. O Ewie jako kobiecie nie bardzo wypada mi pisać, o jej niezaprzeczalnym wdzięku osobistym, dość powiedzieć, że potrafi zjednywać sobie ludzi, czego ja, urodzony mizantrop, jestem najlepszym dowodem. Nie tylko zresztą ja, ale całe moje środowisko opozycji ulicznej w stolicy i poza nią. Z Ewą bowiem można góry przenosić, nie ma dla niej rzeczy niemożliwych, działa zadaniowo i nie przewiduje porażki. Robota pali jej się w rękach, ma niesłychaną energię, którą zaraża innych.

Ewa pracuje w sektorze bankowym, jest więc specjalistką z zakresu, który predestynuje ją do pracy w parlamencie, bo wiemy skądinąd, że czego jak czego, ale myślenia ekonomicznego u ustawodawcy każdy by sobie życzył. Gospodarskiego myślenia – oszczędnego i obliczonego na nasz wspólny zysk. Ewa od lat działa w środowisku politycznym i ma doskonałą orientację oraz kompetencje w stosowaniu konkretnych rozwiązań mających ludziom ułatwiać życie i dawać wspólną pomyślność. Jest otwarta na modernizację, choć odnosi się też z szacunkiem do tradycji, żywiołowa, ale rozważna. Oby tacy ludzie jak Ewa znaleźli się w Sejmie.

Przemysław Wiszniewski
Redaktor naczelny „Naszego Czasopisma”

Narzekamy na jakość opozycji parlamentarnej, a jednocześnie nie palimy się do wejścia do polityki. Dlatego tak cenne dla nas są osoby, którym się po prostu chce. A jeśli do tego są to ludzie wykształceni, kulturalni, inteligentni, sympatyczni, współczujący i uśmiechnięci, to tym bardziej powinniśmy pozwolić im, żeby nas reprezentowali. Jeśli Ewa Krawczyk-

Dębiec wejdzie do parlamentu, jestem pewna, że jakość debaty publicznej tylko zyska. Co mnie do tego przekonuje? Ciężka praca, którą Ewa wykonała w trakcie kampanii wyborczej, jest oczywiście bardzo ważna i niespotykana w porównaniu do kampanii nie tylko “starych wyjadaczy”. Ewa pracowała także na długo przed decyzją o wejściu w “dużą politykę”. Z jej profilu na FB, a także z jej spotkań organizowanych niemal codziennie w różnych miasteczkach podwarszawskich dowiedzieć się, jakie działania podejmowała na rzecz aktywizacji środowisk, byśmy mogli budować społeczeństwo obywatelskie.

Jest człowiekiem działań i sukcesu – przekonałam się o tym przy projekcie “Kongres Mediów Obywatelskich”, który organizowaliśmy w styczniu 2019 r. Jej profesjonalizm gwarantował wysoką jakość wydarzenia (i tak się stało), a umiejętność współpracy z różnymi podmiotami, upór i pracowitość dały komfort pracy całemu zespołowi. Ponieważ kandydatka na posłankę zawodowo zajmuje się projektami, sądzę że projekt „Ewa w Sejmie” wygra.

Często słyszymy, że „polityka mnie nie interesuje”, ale nie czekajmy, aż „polityka nami się zainteresuje” i jeśli sami nie chcemy być parlamentarzystą, to zagłosujmy na Ewę, by zdobyła zaszczytny mandat poselski. Myślę, że nas nie zawiedzie. Ja na nią zagłosuję!

Katarzyna Wyszomierska
Redaktor naczelna „Skweru Wolności”

Z Ewą Krawczyk-Dębiec współpracuję od początku 2016 r. Początkowo w ramach redakcji „Naszego Czasopisma”, a następnie także w Sieci Eksperckiej „Lepsza Polska” funkcjonującej w ramach „Nowoczesnej”. Zajmowaliśmy się między innymi pracami nad zmianami w wymiarze sprawiedliwości. Efektem naszej pracy był szereg publikacji na łamach „Naszego Czasopisma”. Ewa aktywnie włączała się w bieżące prace biur poselski niektórych posłów opozycji parlamentarnej, opracowując materiały wspomagające wystąpienia posłów, przygotowując opinie i interpelacje poselskie.

Nie ukrywam, że Ewa mnie zadziwia. Podziwiam jej dynamizm, wiedzę, optymizm. Wyróżnia się racjonalnością myślenia, jasnością myśli połączoną z umiejętnością trafnego do okoliczności formułowania sądów, ze swoistym poczuciem humoru. Jest bezkompromisowa, potrafiąca zdecydowanie prezentować swoje zdanie. Z pasją potrafi bronić stanowiska, opartego o przyjęty system wartości, właściwy dla demokratycznego państwa prawa. Jak mało kto, jest godna tego, aby zasiadać w ławach poselskich naszego Sejmu.

Andrzej Zaleski, adwokat

O politykach wypowiadam się najczęściej (delikatnie mówiąc) sceptycznie, uważam bowiem, że w Polsce dominuje tzw. negatywny dobór do polityki, czego świadectwem może być mój tekst w niniejszym numerze „Naszego Czasopisma”. Ale nie oznacza to, że polityka mnie nudzi, czy nie interesuje! Wręcz przeciwnie, polityka mnie pasjonuje i dlatego tak jak krytykuję polityków, którzy moim zdaniem się do polityki nie nadają, tak całym sercem wspieram (w miarę skromnych możliwości)

ści) tych, w których wierzę. Dlatego właśnie nie popieram ludzi takich jak Ewa Krawczyk-Dębiec.

Ewę znam od kilku lat, miałem okazję rozmawiać z nią nie tylko o polityce i tym, co mnie do niej szczególnie przekonało, jest fakt, że choć nie zgadzamy się w niektórych kwestiach, nasze relacje nigdy na tym nie ucierpiały. Ewa potrafi nie tylko mówić, ale też słuchać, a to już niezwykle rzadka cecha u polityków. Jednocześnie warto dodać, że to właśnie umiejętność słuchania najlepiej świadczy o kompetencjach polityka, bo tylko taki polityk nie utkwie we własnej „bańce informacyjnej”, nie straci kontaktu ze społeczeństwem także tych regionów, które (jak się może wydawać) politycznie mu nie sprzyjają. Właśnie takich posłów, senatorów, europosłów jak Ewa potrzeba w naszym kraju, żeby polityka znów stała się racjonalna, ale też korzystna długofalowo, a nie tylko do różnie i jedynie w wymiarze socjalnym, który zresztą jest dziś bardzo złudny.

Dr Maciej Milczanowski
Instytut Nauk o Polityce, Uniwersytet Rzeszowski



Materiał sfinansowany przez KKW Koalicja Obywatelska PO. N. I. Zieloni

fol. Andrzej Wierzbowski

ODSZEDŁ BOGUSŁAW STANISŁAWSKI - PRZYJACIEL DEMOKRACJI (1930-2019)

Chciał Polski otwartej, demokratycznej, tolerancyjnej, szanującej każdego człowieka, różnorodnej, wolnej od nacjonalizmów i nienawiści. Dlatego od jesieni 2015 roku w Jego kalendarzu nie było tygodnia bez manifestacji. Jego Życie Bogusława Stanisławskiego – bogate w wydarzenia, meandry, zasługi, rozterki, przygody - to materiał na scenariusz filmowy.

Katarzyna Wyszomierska



fot. Katarzyna Pierzchała

Informacje o Nim znaleźć można w Wikipedii i na stronach trzech fundacji, z którymi współpracował bądź je zakładał... O Bogusławie Stanisławskim trzeba pamiętać jako o wykładowcy, wychowawcy i przyjacielu młodzieży (przede wszystkim studen-

ckiej). Swoją karierę zawodową rozpoczął (i z długą przerwą pracował do emerytury) w Szkole Głównej Planowania i Statystyki (później SGH). W „przerwie” został wicedyrektorem Instytutu Kultury Polskiej w Londynie, „eksportował” naszą kulturę i naukę oraz opiekował się o sty-

pendystami. Podobne zadania powierzono Mu w belgradzkiej ambasadzie, do której trafił jako radca kilka lat później.

Towarzyszył delegacji amerykańskiej podczas wizyty Richarda Nixona z małżonką... Był negocjatorem podczas Konferencji

Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, w wyniku której powstało wiele organizacji i stowarzyszeń w tym KOR i ROBCiO.

W 2011 roku prezydent Bronisław Komorowski uhonorował Go Krzyżem Komandorskim „Polonia Restituta” za działalność na rzecz społeczeństwa obywatelskiego. Bogusław Stanisławski to jedno z najwyższych odznaczeń otrzymał w Pałacu Prezydenckim, pod którym wiele lat później protestował w obronie podstawowych wolności obywatelskich.

Historia na wyciągnięcie ręki

W 1972 roku Bogusław Stanisławski w ramach oenietowskiej Międzynarodowej Komisji Nadzoru i Kontroli został wysłany do Wietnamu. „Pamiętam kilka wypraw do dżungli na miejsce nawet nie walk, ale zagłady ludności. Widziałem wioski wyniszczone napalmem, zwęglone całe połacie lasu oraz nie pogrzebane sterty popalonych trupów. To była ogromna trauma. Pojechaliśmy do Wietnamu, aby to powstrzymać. Nie wiem, czy coś dało. Byliśmy oczami i uszami ONZ. Z Polski wyjechała też misja wojskowa, która więcej mogła. Starali się wejść między skonfliktowane strony. Też niewiele mogli...”

Jeszcze widział Sajgon kolorowy, pachnący, dostatni, a za chwilę – bombardowany, ostrzeliwany, zagłodzony. Wraz z kilkoma ekipami międzynarodowymi polscy obserwatorzy zostali uwięzieni w hotelu w centrum miasta. „Znaleźliśmy się w środku konfliktu. Kompletnie już nikt nie wychodził z hotelu, więc zaczęły się poważne braki w zaopatrzeniu. Jeszcze kilkanaście dni temu w Sajgonie targ był pełen warzyw i owoców a w sklepach można było kupić inną żywność. A teraz nagle wszystko szlag trafił.”

Dni mijały. Któregoś dnia jedzący śniadanie Amerykanie wybiegli w popłochu. Jeszcze przed chwilą wszyscy słuchali komunikatu radiowego „Temperatura w Sajgonie 112 stopni i rośnie”, a po nim piosenki „White Christmas” w wykonaniu Binga Crosby’ego. Dziwne, bo w kalendarzu była wiosna... Po latach okazało się, że to był sygnał do ewakuacji obywateli USA. Bogusław zobaczył jeszcze jak dzi-

pami jego współtowarzysze niedoli podjechali pod bramę ambasady, a potem odlecieli helikopterami.

Ewakuacja polskiej misji była równie dramatyczna. Dość powiedzieć, że przez kilka dni nie wiadomo było, czy w ogóle zostanie zabrana z ogarniętego walkami miasta. Mimo zerwanej komunikacji radiowej, porytego rakietami pasa startowego, monsunu, który zaatakował z ogromną siłą, udało im się szczęśliwie odlecieć... W powietrzu nad Kambodżą samolot został ostrzelany rakietami przez żołnierzy Pol Pota. Na dodatek z braku paliwa na lotnisku w Sajgonie musieli szybko wylądować. W Bangkoku, w którym tankowali paliwo, cała załoga samolotu i pasażerowie – Polacy i Węgrzy, upiła się solidarnie.

Orwellowski „doublethink”

Los zetknął mnie z Nim prawie dwa lata temu. Przez kilkanaście miesięcy męczyłam Go jako autora tekstów do obywatelskich portali internetowych. Bardzo go męczyć nie musiałam, bo cieszył się, że ma czytelników, że ktoś podziela jego poglądy, że nie jest sam w proteście. Spotykaliśmy się często na manifestacjach, a czasem na konferencjach i spotkaniach. Wielokrotnie rozmawialiśmy przez telefon. Kilka miesięcy przed śmiercią zadzwonił w niedzielny poranek mówiąc:

„Jestem w szpitalu i mam glejaka mózgu”, „Boguś – mówię ciepło – nie stać mnie na łyzy, i jedyne co mogę Ci zaoferować, to obecność i uśmiech. I jeśli chcesz, chłodnik!”

Przyjął propozycję, ale dokończył obowiązków. Miałam pomóc dokończyć Jego autobiografię, którą zarzucił w trudnym dla siebie okresie. Nagrywaliśmy ciąg dalszy wspomnień, ale zaczęliśmy od najcięższych chwil (to Go właśnie wstrzymywało przed kontynuacją pamiętnika). W ciemnym pokoju pełnym książek i pamiątek, w towarzystwie ukochanego psa opowiedział mi o propozycji od polskiego wywiadu, którą otrzymał w latach 60. XX wieku przed wyjazdem do Londynu. Czułam się jak na spowiedzi, ale odetchnęłam z ulgą, gdy powiedział mi o przełomie w życiu.

Wyznał najpierw, w jakich okolicznościach otrzymał propozycję i co potem wydarzyło się podczas pobytu w Londynie, Belgradzie i Genewie. Także o ostatnim spotkaniu w kawiarni „Na Rozdrożu”, już po Jego „nawróceniu”, kiedy zaszantażowano go grożąc konsekwencjami nie tylko w stosunku do Niego, ale i ukochanego syna. Ale wywiad już nie miał na Niego wpływu...

Bogusław, który był już na dość wysokim szczeblu w MSZ, w pewnym momencie zaczął odczuwać przytłaczający ►



fot. Katarzyna Pierzchała



fol. Katarzyna Pierzchała

► dylemat. Wiedział, że beton partyjny nie uznający „warchołów i wichrzycieli odbierających naszą socjalistyczną Polskę” chciał zdusić „Solidarność”, a przedtem robotników z Radomia, Ursusa... Wcześniej widział obrzydliwą nagonkę na przyjaciół i przełożonych za to, że mieli korzenie żydowskie. Tak opisuje scenę, która rozegrała się na początku sierpnia 1981 roku w Warszawie podczas blokady centralnego ronda: „Przechodziłem wtedy z żoną włócząc się po Warszawie. Może było to pierwszego dnia strajku, gdy przemawiał Zbigniew Bujak i Lech Wałęsa... Nie podchodziłem bliżej. Serce byłem ze strajkującymi i ludźmi ich wspierającymi, ale nie zatrzymałem się... jeszcze nie mogłem... jeszcze nie byłem „ich”. Od pierwszego przebudzenia robotników w Gdańsku, w Ursusie, Radomiu czy na Śląsku, myślami byłem tam, gdzie tworzyła się solidarność – ta mała i duża, ale ciągle trzymałem się MSZ. Nie wolno

nam było jako urzędnikom ministerstwa zapisywać się do żadnych związków. Więc obserwowałem solidarny tłum i uświado- miłem sobie, że jestem po drugiej stronie. Ogromne rozdarcie, ból...”

Ten „doublethink” opisany przez George’a Orwella w „1984” przez wiele dekad był Jego koszmarem, który przyplącił nocami pełnymi rozterek i ciężką chorobą. Wspominał to tak: „musiałem się w jakiejś części zidentyfikować z Polską jaka była, z tą, która – podkreślam – nigdy nie była Polską moich marzeń. Mimo że tyle mnie rzeczy uwierało, to chciałem chociaż przemycić coś wartościowego w swoich staraniach.”

Non possum!

Linie demarkacyjną przekroczył, tak jak wielu innych, w dniu ogłoszenia stanu wojennego. Wraczał z sanatorium, do które-

go trafił po operacji. Pociągiem dojechał do Warszawy w nocy z 12 na 13 grudnia. Wyszedł z dworca na ulicę i „na wielkim skrzyżowaniu przed dworcem zobaczyliśmy czołgi i mnóstwo wojskowych. W tle majaczyły postacie radzieckich żołnierzy pomnika „czterech śpiących”. To był moment zrozumienia, że jak to określił „nie temu bogu służył”. Jego „Non possum!” stało się jeszcze bardziej dobitne, gdy kilka dni później dowiedział się o pacyfikacji „Wujka”. Złożył dymisję w ministerstwie, a przełożeni zrobili z Niego wariata...

Spotkałam wiele osób z opozycji solidarnościowej, które mówiły, że Bogusław od pierwszego kontaktu opowiadał im o swojej karierze w socjalistycznej dyplomacji, powiązaniach z wywiadem i oczywiście nawróceniu... Znamienna jest postawa Jacka Kuronia, który przyjął Go do swojego sztabu wyborczego... Długo nie chciał wysłuchać „spowiedzi” naszego Bohatera, potem odbył z nim kilkugodzinną rozmowę, aby na koniec serdecznie Go uściskać... Wielu ze zwykłych członków opozycji, mówiło mi, że taki był czas i w takiej Polsce przyszło nam wszystkim żyć.

Bogusław zawsze starał się mówić o ludziach w pozytywnym kontekście... owszem, miał kilka osób, których nie darzył estymą... Opowiadając o tych, którzy stanęli na Jego drodze, ale nie stanęli na wysokości honoru, człowieczeństwa czy przyzwoitości i nie mieli z tym problemu, mówił z sarkazmem „są ludzie i tramwaje”. Nie był człowiekiem bez wad, zapewne wielu oburzy Jego flirt z wywiadem, wielu nie zrozumie, jak mógł przez lata żyć w rozdwójeniu, ale nikt nie powie, że okazał się „tramwajem”. Bilans Jego życia wyszedł na duży plus!

Od autorki: Książka, nad którą pracowaliśmy, składa się z dwóch części. Pierwszą dotyczącą wspomnień do 1965 r. Bogusław Stanisławski napisał samodzielnie. Zawarł w niej wspomnienia z dzieciństwa, młodości, pierwszej pracy i początków małżeństwa. Druga część to wspomnienia po roku 1965, gdy wrócił z Londynu. Nie dokończy jej bez wspomnień innych, których proszę o kontakt (adres redakcji). ■

ILE JEST WART CZAS?

Kiedyś mówiło się, że szczęśliwi czasu nie liczą. Ale też nie był to towar szczególnie deficytowy. Dziś brakuje go prawie wszystkim i stał się jednym z najcenniejszych dóbr tego świata.

Andrzej Wierzbą

Dawno temu ludzie mieli dużo czasu. Nie byli atakowani wiadomościami z komunikatorów, nie spędzali godzin przy telewizorze i Internecie. Osiedlowy sklep czy bazar były nie tylko miejscem zakupów, ale centrum spotkań i lokalnych plotek. Teraz mamy bardzo mało czasu dla siebie. Praca zajmuje nam osiem godzin, a dojazd średnio półtorej godziny. Dzieci wymagają opieki i wspólnej zabawy. Na własne zajęcia i przyjemności zostaje kilkadziesiąt minut.

Ile tak naprawdę wart jest czas? Najprościej jest oszacować jego koszt w pracy. Pracodawca wydaje razem z podatkami na naszą średnią pensję ok. 6 tys. złotych. W tym mieszczą się święta, dni zwolnienia i dni urlopu, czyli tak naprawdę 20 dni pracy kosztuje 7 tys. zł. Do tego dochodzą koszty miejsca pracy. W najtańszym przypadku jest to 10 metrów powierzchni biurowej, korytarzy i pomieszczeń socjalnych. Do tego dochodzi biurko, komputer, telefon. Bardzo skromnie licząc jest to kolejne tysiąc złotych. Dzień pracy kosztuje zatem ok. 400 zł, a godzina 50 zł. W przypadku osób na wyższych stanowiskach te kwoty rosną nawet kilkukrotnie.

Postawie co roku zwiększają ilość przepisów i komplikują system podatkowy nie zdając sobie sprawy, jak bardzo podraża to ceny wytwarzanych produktów. Wyjazd i wizyta księgowej w urzędzie skarbowym to koszt 300 zł. Odpowiedź nawet na nieistotne pismo z urzędu kosztuje 50 zł. Kontrola w firmie pochłania kilka dni i angażuje wielu pracowników, stwarzając niepomijalny koszt od kilku do kilkudziesięciu tysięcy złotych. Duża ilość regulacji prawnych w Unii Europejskiej powoduje marnotrawienie czasu i wzrost cen dla klientów. Firmy wypełniają zestawienia, dostosowują się do szczegółowych wytycznych, zamiast skupić się na tworzeniu innowacyjnych technologii, obniżaniu kosztów produkcji czy tworzeniu nowych miejsc pracy.

Cena czasu osoby prywatnej zależy od tego, ile ma go ona dla siebie oraz od tego, ile zarabia. Dla dyrektora korporacji zarabiającego 5 tys. dolarów na godzinę i spędzającego większość czasu w pracy warto wynająć odrzutowiec, aby nie tracił niepotrzebnie kilku godzin na odprawę bagażową czy przesiadki. Dla niepracującego rencisty dostającego 1500 zł miesięcznie warto jest pojechać autobusem na drugi koniec miasta, aby kupić cukier, mąkę i mięso o 10 zł taniej.

Najcenniejszym czasem jest okres wakacji. Raz w roku mamy szansę naładować akumulatory i zobaczyć nowe miejsca. Ciulane przez cały rok pieniądze wydajemy dużo łatwiej w hotelu, nadmorskim barze czy na stoiskach z pamiątkami.



fol. pixabay.com

O wysokiej cenie czasu wiedzą urzędy i tworzą takie procedury, aby zniechęcić większość osób do skorzystania z przysługującej nam bezpłatnych usług. Szczególnie jest to widoczne w przypadku usług medycznych. Czekanie latami na wizytę u lekarza specjalisty czy operację zażmy zmusza wszystkich tych, których stać, do wykonanie usługi za swoje pieniądze. Procedura pozyskiwania ograniczonej miesięcznie ilości pieluch dla osoby starszej jest tak skomplikowana i czasochłonna, aby dla normalnie pracujących ludzi było to nieopłacalne. To samo dotyczy refundacji za oprawki i okulary. Płacimy składki, ale procedura zniechęca lepiej zarabiających do ubiegania się o zwrot należnych pieniędzy.

W świecie automatyzacji i taniej produkcji czas jest dobrem najcenniejszym, którego nie da się kupić. Politycy powinni nareszcie to zrozumieć i przestać dręczyć obywateli i firmy bezsensownymi, lecz zabierającymi czas przepisami. Skomplikowane prawo służy wyłącznie utrzymaniu monopolu wielkich koncernów, mających armię prawników lub instytucjom państwowym zarządzanym przez dyrektorów z rekomendacji rządzącej partii. ■

SYSTEM SIĘ WALI

Z budżetu państwa na 500+ idzie 40 mld zł, na NFZ – 90 mld zł. 500 zł miesięcznie wystarczy na wizytę u lekarza, ale nie na specjalistyczne badania, drogie leki czy operację. A otrzymanie pomocy lekarskiej z NFZ, dostanie się do szpitala graniczy z cudem. Sfrustrowani medycy, przerażeni pacjenci, mizéria szpitalna. Oto wizja polskiej opieki zdrowotnej.

O zapaści w szpitalnictwie z dyrektorem jednego z powiatowych szpitali na południu Polski rozmawia Anna Lenar



fot. pixabay.com

Czy jest jakaś zasadnicza różnica między stanem opieki zdrowotnej powiatowej i wielkomiejskiej?

Jest przepaść między szpitalami powiatowymi a wielkomiejskimi. Głównym powodem jest to, że szpitale miejskie mają dodatkowe wsparcie w osobach marszałka oraz ministra zdrowia. Natomiast szpitale powiatowe są skazane na siebie i na starostwa. Te najczęściej są biedne i z dużym

kłopotem współpracują z gminami, które z kolei dysponują znacznie większym budżetem niż starostwa.

To jest efekt podziału administracyjnego Polski na powiaty?

Przyporządkowanie szpitali powiatom to był błąd, ale też sądzę, że i strategiczny cel. To znaczy w świadomości zarządzających ugruntowało się przekonanie, że szpitale powiatowych w Polsce jest za

dużo, w związku z czym należało je zredukować. I tu pojawił się problem. Postanowienie o zamknięciu szpitala spada na starostę, ten zaś nie podejmie takiej decyzji, bo zostałby zlinchowany. Sam zresztą często korzysta z jego usług.

Czy rzeczywiście jest za dużo tych szpitali?

Są takie miejsca, gdzie jest ich za dużo i takie, gdzie za mało. To jednak należa-

łoby rozwiązać systemowo, czyli należałoby popatrzeć, jaki jest potencjał, ilu jest mieszkańców, ile oddziałów i odpowiednio je sfinansować. Nikt tego do tej pory nie dokonał, bo decyzje o przesunięciach środków finansowych z jednego szpitala do innych są niepopularne.

Czy stworzenie sieci szpitali pogłębiło złą sytuację w Polsce powiatowej?

Zdecydowanie tak. Zaraz wytłumaczę. Wprowadzając sieć szpitali zlikwidowano nadwykonania, czyli wypłaty z NFZ za ponadkontraktowe usługi medyczne. Jednakże szpital to takie miejsce, z którego nie odsyła się pacjenta, jeśli ten wymaga pomocy, a szpital może jej udzielić. Łatwo się domyślić, że te ponadkontraktowe działania medyczne były częste, a NFZ najczęściej prędzej czy później za nie płacił. Dzisiaj mamy taką oto sytuację, że szpitale nadal udzielają ponadkontraktowej pomocy, bo pacjentów nie ubywa, a raczej przybywa, ale NFZ nie daje ani złotówki więcej. A szpitale muszą przyjąć wszystkich zgłaszających się ludzi, bo który lekarz odeśle pacjenta, ryzykując utratą prawa wykonywania zawodu? Taka była umowa przy wchodzeniu do sieci, że nie będziemy zgłaszać żadnych finansowych roszczeń. Że świadomie rezygnujemy z nadwykono-

Są jednak w Polsce szpitale, które nie weszły do sieci.

Jest ich bardzo mało i żyją bardzo dobrze. Funkcjonują na dawnych zasadach, czyli mogą się upominać o nadwykonania. Natomiast paradoksem jest to, że gdybyśmy dzisiaj chcieli wyjść z sieci, to mielibyśmy ogromny problem ze zdobyciem finansowania. Szpital jest wtedy takim wolnym strzelcem, który zwraca się do NFZ z prośbą o ogłoszenie konkursu na jego finansowanie. NFZ może konkurs ogłosić albo nie, a nawet jeśli ogłosi, to nie wiadomo, kto się do niego zgłosi i kto go wygra. Ryzyko utracenia pieniędzy jest jeszcze większe niż ryzyko popadania w dług.

Działalność szpitali jest zawieszona na trzech filarach – pieniądze, lekarze i pielęgniarki oraz organizacja. Co najbardziej dzisiaj zawodzi?

Właściwie wszystko. Poczynając od organizacji – w większości szpitali, w mojej ocenie, jest potężna nadbudowa administracji. Często widzi się mnóstwo osób wałęsających się po korytarzach, trzymających parę papierków w dłoni i udających wykonywanie ciężkiej i nikomu niepotrzebnej pracy. Ci ludzie udają, że pracują, bo uważają, że za 1700 zł netto nie chce im się chcieć. Ale za to mają płacony ZUS.

Menedżerowie też bywają lepsi i gorsi

No, cóż, cały system w ochronie zdrowia oparty jest na przypadkowości, z góry rozstrzygniętych konkursach, ludziach „z klucza”. To kiedyś było wielkie nieszczęście szpitali powiatowych, że wsadzało się kolegów czy koleżanki, którzy pracowali w różnych instytucjach niemających nic wspólnego z przygotowaniem menedżerskim. Jeśli ktoś nie dotknął obszaru medycyny, nie ma pojęcia, co zrobić w szpitalu. Rozmowy z personelem medycznym są bardzo trudne i taki człowiek zostanie

błyskawicznie rozszyfrowany jako niekompetentny. Wtedy o żadnej dyscyplinie nie ma mowy i personel robi, co chce. Rozlicza procedury, jak chce, wprowadza pacjentów, jakich chce, stosuje leki, jakie chce. To kompletna degrengolada.

Co się dzieje z SOR-ami, że ludzie tam umierają? Jak można zmienić tę sytuację?

Po pierwsze, brakuje tam lekarzy każdej specjalności. W dużych szpitalach w miastach na Szpitalnym Oddziale Ratunkowym pracują rezydenci, nie mając często wsparcia doświadzonego lekarza. W szpitalach powiatowych sytuacja jest jeszcze gorsza. Na SOR-ach dyżurują dyrektorzy szpitali, którzy są chirurgami albo mocno starsi wiekiem lekarze. Temu się też nikt nie przygląda. SOR-y to wysokospecjalistyczny, wysokokosztowy oddział szpitala. Zlikwidowano izby wytrzeźwień, pijani bezdomni zalegają na izbach przyjęć i SOR-ach. Lekarze są zniechęceni do pracy, bo ich wiedza i czas są trwonione, ►



fot. pixabay.com



fot. pixabay.com

► podczas gdy powinni skupić się nad faktycznie ciężkimi przypadkami.

W momencie wejścia szpitali do sieci stworzono, dla odciążenia Izb Przyjęć i SOR-ów, świąteczno-nocną pomoc, obowiązkowo w każdym szpitalu. Czyli zlikwidowano ją w przychodniach?

Tak. W założeniu chodziło o to, by sprawnie rozdzielać pacjentów ze względu na ciężkość przypadku. Chorzy z bezpośrednim zagrożeniem życia, ranni po wypadkach, przywożeni przez pogotowie przyjmowani są w Izbie Przyjęć czy w SOR, ale też w nagłych przypadkach przyjmuje szpitalna pomoc świąteczno-nocna. Efekt jest taki, że ta pomoc jest obciążona przez pacjentów, którzy nie mogą skorzystać z Podstawowej Opieki Zdrowotnej.

Tutaj dochodzimy do kolejnego ogniwa w łańcuchu systemu. POZ to tak naprawdę państwo w państwie. Spływają tam pokaźne pieniądze, przyznawane ryczałtowo na osobę deklarującą przynależność do jakiejś przychodni. W interesie POZ-ów jest, by mieć zadeklarowanych jak najwięcej ludzi niekorzystających z ich usług, bo ryczałt i tak dostają. Jeżeli te pieniądze byłyby przeznaczone na pacjentów starszych, ze skierowaniami do

tak samo zablokowane, jak do niedawna aplikacje adwokackie. Młody człowiek, który pracuje jako rezydent za naprawdę marne pieniądze, przez pięć, sześć lat nie jest w stanie zdać egzaminu specjalizacyjnego, bo daje się tak zaporowe pytania. Żeby tylko nie wyrosła konkurencja.

Należy zdecydować, jakich lekarzy nam brakuje i jeśli ktoś chce iść na medycynę, powinien podpisać deklarację, że będzie robił potrzebną specjalizację. Specjalizacja musi być łatwiejsza do osiągnięcia, a młodych ludzi trzeba zmotywować do pracy. Przecież sześć lat nauki pod czymś nadzorem to chyba dużo czasu. Tylko ten czas trzeba poświęcić młodym. A kto go ma? Który profesor? Które kliniki? Liczne dowody wskazują, że jeśli młodzi złapią wiatr w żagle, zmieniają się szpitale. Mówi się, że młodzi lekarze są roszczeniowi, źli i nie chcą pracować. Dlaczego ci sami lekarze tak bardzo są doceniani poza naszym krajem? Nie zarabiają aż tak wiele więcej. Ale inna jest kultura, wzajemny szacunek w środowisku, procedury, odpowiedzialność prawna.

Jaki powinien być system opieki zdrowotnej, gdyby udało się coś zrobić w najbliższej przyszłości?

Przede wszystkim oddzielony prywatny od publicznego. Na rynek opieki zdrowotnej powinien wejść kolejny ubezpieczyciel, żeby złamać monopolistyczną pozycję NFZ. Należy wprowadzić system wynagradzania zależny od jakości wykonanej pracy, a nie od zasług i znajomości. Trzeba skierować do szpitali kontrolerów, którzy będą zupełnie niezależni i o zagwarantowanej nietykalności. Trzeba stworzyć niezależne komórki kontrolujące w szpitalach finanse i sposób ich rozliczania. Lekarze konsultanci krajowi, wojewódzcy, którzy mają swoje prywatne szpitale lub kliniki w żadnym wypadku nie powinni pracować w sektorze publicznym. Niestety, dopóki ministrem zdrowia jest lekarz, nie zrobi krzywdy kolegom. Lekarze powinni być tylko doradcami ministra zdrowia. To kluczowe sprawy będące, według mnie, podstawą zdrowego systemu służby zdrowia.

Nazwisko rozmówcy znane jest redakcji. ■

SŁOWNIK WYRAZÓW TRUDNYCH: TECHNOKRACJA

Europę demokratycznie ogarnia fala populizmu. Na Węgrzech demokratycznie wybrany mini-dyktator Orban rozmontowuje demokrację. Przed nami demokratycznie zarządzony w referendum Brexit. Demokracja to nie jest koniec historii, bo zaraz się jej demokratycznie pozbędziemy. Tylko co ją zastąpi?

Karolina Romańska

Demokracja w oryginalnym, greckim założeniu była przeznaczona dla wąskiej grupy społecznej. Swoich przywódców demokratycznie mogli wybierać tylko wolni, zamożni mężczyźni. Reszta społeczeństwa - kobiety, niewolnicy, przyjezdni, była tego przywileju pozbawiona.

Dziś, przynajmniej w naszej części świata, demokracja jest dostępna dla wszystkich. Teoretycznie miała rozwiązać problemy z tyranią, rządami despotów czy partii komunistycznych. Okazało się jednak, że umiejętnie zarządzając wizerunkiem i hasłami, można przekonać suwerena, do wyboru przywódców całkowicie pozbawionych kwalifikacji do rządzenia, za to bez skrupułów dążących do zniszczenia mechanizmów demokratycznych. Przekonał się, że zrównoważony trójpodział władzy, który jest kamieniem węgielnym demokratycznego ustroju nie zadziała, jeśli choćby dwie władze z trzech (sądownicza, ustawodawcza, wykonawcza) będą sterowane politycznie. Modelowym już przykładem jest upolitycznienie Trybunału Konstytucyjnego oraz połączenie stanowisk Prokuratora Generalnego i Ministra Sprawiedliwości.

Cóż może stać się alternatywą dla „wadliwej” demokracji? Potencjalnie - technokracja. Słowo to według słownika Cambridge University jest połączeniem dwóch greckich słów *tekhne* (wiedza, umiejętność) i *kratos* (siła, władza), co oznacza „rządy wiedzy i umiejętności”. W systemie technokratycznym władzę sprawują osoby posiadające wiedzę, doświadczenie i zdolności do rządzenia. Stwarza to możliwość rezygnacji z polityków i zaangażowanie do rządzenia państwem (służbą zdrowia, drogami publicznymi, szkolnictwem, wypłatą zasiłków, obronnością) apolitycznych fachowców/biurokratów. Przykładem technokratycznego rządu jest obecna Rada Ministrów powołana przez Premiera Kanady, Justin’a Trudeau. Każdy z ministrów ma za sobą wiele lat doświadczenia w dziedzinie, którą zarządza. Podobnie przedstawia się skład Biura Politycznego Komunistycznej Partii Chin - w 90% są to wybitni eksperci. Aczkolwiek Kanada i Chiny stoją na przeciwnych biegunkach możliwości, które stwarza technokracja. Kanada ustrój demokratyczny wykorzystuje do zbudowania rządu technokratycznego, którego celem jest prowadzenie polityki w jeszcze większym stopniu zgodnej z potrzebami obywateli. Technokratyczny rząd Chin wprowadza natomiast powszechną inwigilację społeczeństwa oraz odgórny system kar i nagród. Trzecią możliwością, którą stwarza technokracja jest

model szwajcarski, w którym na poziomie kantonów (obszarów wielkości naszych województw) społeczeństwo obligatoryjnie głosuje nad konkretnymi rozwiązaniami, a wyniki głosowań są bezdyskusyjnie realizowane przez obiektywną, apolityczną, złożoną ze specjalistów administrację publiczną.

My, w Polsce jesteśmy na razie na etapie takiego społecznego rozwoju, który wymaga od nas politycznego zaangażowania. Moim zdaniem powinniśmy dać szansę kandydatom niezależnym, którzy z dużym prawdopodobieństwem nie będą ulegali naciskom rozmaitych partii, a z działań rozliczać ich będą wyłącznie wyborcy. To może być nasz pierwszy krok w kierunku technokracji. Oby tylko nie okazało się po wyborach, że od dotychczasowego rządu nie ma odwrotu, ponieważ dokonał on zbyt daleko posuniętej ingerencji w nasz ustrój. A jeżeli nie będziemy mieć już możliwości usunięcia rządów za pomocą demokratycznych narzędzi, to czy nadal będziemy się czuli bezpiecznie? ■



fot. pixabay.com

NIEDOSKONALI, ALE PIĘKNI

Żyjemy w ciągłej niepewności. Nigdy nie wiemy, czy nam się uda, czy nie. Często nie mamy kontroli nad tym, co się wokół nas dzieje. Ogólnie rzecz ujmując, nasze życie jest nieprzewidywalne.

Agnieszka Gołas



fot. pixabay.com

Współczesne społeczeństwo jest wrażliwe i przepięknie niepełne, podatne na ciosy, wyśmiewanie, hejt, odrzucenie, ironię i krytykę. Funkcjonujemy w kulturze niedostatku i czujemy się niedostatecznie silni, skuteczni, kochani, atrakcyjni, inteligentni, zdrowi, sprawni fizycznie, zdecydowani... W głębi duszy sami też uważamy, że jesteśmy niegodni miłości i przynależności, które są podstawowymi potrzebami człowieka. Nie pokazujemy jednak innym swoich uczuć, bo wówczas ujawnilibyśmy tak niemodną dzisiaj słabość, niedostosowanie, niedoskonałość, marność. Wstydzimy się. Stabe-

uszy i ofiar przecież nikt nie lubi, nie ceni. Ludzie podziwiają silnych i asertywnych, a dzisiejsza cywilizacja powtarza nam bezustannie: popraw beret i do przodu! Psychiczna zbroja, przejawiająca się złością, agresją, zobojętnieniem, obwinianiem innych, osądzaniem, nadmierną asertywnością, cynizmem, perfekcjonizmem, byciem „fajnym” – to nasza codzienna obrona przeciwko obnażeniu się, otwarciu i autentyczności.

Trudna emocja

Wstyd to najtrudniejsza ludzka emocja. Przez prawie 20 lat badała ją amerykań-

ska psycholożka Brené Brown, profesorka na Uniwersytecie w Houston. Jest autorką pięciu bestsellerów (wg „New York Timesa”), a jej wystąpienie w TED Talk (The Power of Vulnerability – Potęga wrażliwości) obejrzało już ok. 35 mln ludzi.

Jej zdaniem, wstyd, lęk i deficyt poczucia własnej wartości powodują, że zakładamy zbroję i udajemy kogoś innego: nie pokażę, jaki jestem, bo mnie nie zaakceptują. Nie odsłonię się, bo zostanę odrzucony. Odgradzamy się od samych siebie i od innych, tłumimy uczucia, uśmierzamy wrażliwość na różne sposoby: uzależnienia, sport, rozmaite metody na odwróce-

nie uwagi, etc. Wstajemy rano z myślą: co lub kto mi dzisiaj zagraża? Jaką walkę muszę stoczyć? I zakładamy zbroję. Gdy tłumimy te odczucia, tłumimy też inne, jak radość, satysfakcja, spełnienie, spokój, poczucie szczęścia. Nie można bowiem tłumić wybiórczo. Tłumimy je, ponieważ nie mamy wiary, jesteśmy skazani na niepewność. Boimy się tej niepewności i dlatego mówimy: ja mam rację, ty się mylisz. To twoja wina, nie moja.

Mamy dziś politykę, w której brak rozmowy: obwinianie się nawzajem jest sposobem na pozbycie się bólu i zakłopotania, na odreagowanie złości, ukrycie kłamstwa. Chodzi przecież o to, by wypaść dobrze. Niegodzenie się na bezbronność, niepewność, własną wrażliwość i nieprzewidywalność rodzi agresję. Jestem silna, zawsze dam sobie radę. Patrzymy na życie jako na ciągłą walkę i konieczność samoobrony. W ten sposób tracimy energię na budowanie ochrony. Gdy wszystko postrzegamy jako zagrożenie, nie mamy już ufności i zaangażowania.

Ujawnić wrażliwość

Im mniej potrafimy przyznać przed sobą i innymi, że jesteśmy wrażliwi, tym więcej wrażliwości mamy w sobie. Jeśli pozostaje to ukryte – męczymy się żyjąc nieautentycznie, „pod publiczkę”. Tymczasem w tysiącach rozmów, jakie przeprowadziła Brown, okazało się, że w gruncie rzeczy najodważniejsi są ci, którzy nie wstydzą się i nie boją otworzyć przed innymi. W jej opinii ludzie wrażliwi i nie ukrywający swej wrażliwości mają „pełne serca”. Są też szczęśliwsi, mają lepsze, głębsze związki, czują, że są godni miłości i przynależności.

Jesteśmy dobrzy i piękni dzięki swojej wrażliwości i odwadze przyznania się do niej. Bycie wrażliwym to gotowość do powiedzenia „kocham cię” jako pierwszy, choć boimy się odrzucenia, do działania, gdy nie ma pewności sukcesu, do poproszenia o pomoc, mimo że nie mamy gwarancji, że ją dostaniemy. Wrażliwość to przyznanie się do strachu przed wynikami ważnych badań lekarskich... Nie mamy żadnej pewności, brak nam kontroli, a jednak działamy pomimo tego.

Trzeba porzucić mierzalność, pewność i działać z serca. Zaakceptować brak pewności i dać się ponieść swojej wrażliwości. Autentyczni wrażliwcy są według Brené Brown współczesnymi herosami.

Wrażliwość i autentyczność są więc drogą do miłości, więzi, przynależności, intymności, zaufania, nadziei, wdzięczności, intuicji, zabawy, ale także do kreatywności i innowacji. Bez porażek nie ma innowacyjności w firmach, a bez wrażliwości lidera ich zespoły nie działają harmonijnie i skutecznie.

Siostra empatii

Jak określa się wrażliwość i nadwrażliwość? Według powszechnej opinii, to emocjonalna słabość, delikatność, bezbronność. Ludzie bardzo wrażliwi odbierają rzeczywistość z perspektywy bardzo osobistej, intymnej, prosto z serca. Pozostają sobą nawet wtedy, gdy mogą zostać zranieni lub odrzuceni. Mają w związku z tym szczególną zdolność empatii: czują emocje innych, bo nie ukrywają swoich. Jednak jeśli ujawniamy swoją wrażliwość, jeśli otwieramy serce, musimy być gotowi na jego złamanie. O tym trzeba pamiętać i stawiać czoło takiej możliwości. Właśnie dlatego pokazanie wrażliwości wymaga niesłychanej odwagi psychicznej i emocjonalnej. Tego nie da się uniknąć i ludzie, zamiast zdobyć się na tę odwagę, zabijają w sobie wrażliwość.

Czym różni się empatia od sympatii? Gdy otwierasz się przed osobą wrażliwą, czujesz, że jest cała z tobą, że „wchodzi w twoje buty”: jestem tu z tobą, czuję to co ty, dziękuję, że mi o tym powiedziałaś. Czasem wystarczy właśnie taka pełna serca obecność, niekiedy potrzebny jest dotyk, przytulenie. Empatia wymaga odczuwania tego, co druga osoba. Z takim kimś jesteś bezpieczny. Gdy zaś zwierzasz się osobie zamkniętej, która chce być dla ciebie „sympatyczna”, zwykle czujesz po prostu wstyd: o, to niedobrze! Ale kochana, weź się w garść, bądź silna. Gdy mówisz: moje małżeństwo się rozpada, ona zapewne odpowie: ale przynajmniej masz męża. Często też doda: e tam, to nic, posłuchaj, co mnie się przytrafiło! Taka osoba stawia się ponad tobą, czu-

jesz, że jest „lepszą”, nie tak „słabą” jak ty i „wie lepiej”.

Granice

Aby autentyczna empatia była skuteczna, trzeba stawiać granice. To jednak nie mury, lecz wycucie, z czym czuję się dobrze, a z czym już nie. Nie istnieje prawdziwa empatia bez stawiania osobistych granic. Łatwiej jest być autentycznie współczującym, gdy te granice wyznaczamy.

Wielu twierdzi, że doskonała, bezstronna empatia, nieskażona egoizmem i poczuciem wyższości jest dla zwykłego śmiertelnika nieosiągalna. Ich zdaniem, znacznie większą wartość ma empatia podyktowana rozsądkiem, empatia racjonalna (Kant). Ja jednak myślę, że nie należy zadowalać się taką konstatacją i starać się być w stałym kontakcie z własną wrażliwością oraz zdobyć się na odwagę okazywania jej innym na co dzień.

Zrzućmy nasze zbroje! Rozbrójmy wszechobecną obojętność, nienawiść i sztuczność. A jeśli nawet z niektórymi to się nam nie uda, zawsze możemy się od nich odsunąć (ze współczuciem). Pamiętajmy: jesteśmy wystarczający w swej niedoskonałości. ■



fot. pixabay.com

O MIŁOŚCIWIE NAM PANUJĄCYCH KSENOFOBII I HOMOFOBII...

„Taki sam” i „obcy” to dwie strony tego samego medalu, któremu na imię społeczeństwo. Wszyscy jesteśmy zarówno „takimi samymi”, jak i „obcymi”. Wzajemna niechęć wynika z niewiedzy, stereotypów i uprzedzeń.

Agnieszka Wyczółkowska



fot. pixabay.com

Historia ludzkości to nie tylko historia wojen, ale także dzieje wędrówek, w czasie których stykali się ze sobą pojedynczy ludzie i całe społeczności. Z jednej strony przybysze budzili zaciekawienie, a z drugiej obawę, a nawet lęk. Grecy określali tego, który przybywał z zewnątrz, obcego, innego jako xenos, a strach, obawę przed nim słowem phobos, które to słowa stanowią źródłosłów pojęcia ksenofobia, czyli wrogość wobec obcych w stosunku do grupy, do której należymy.

Ci obcy to wyznawcy innej religii, osoby o innym kolorze skóry, mówiący innym językiem, pochodzący z innego obszaru kulturowego, o innej orientacji seksualnej... Przy czym „obcy” nie definiuje nikogo w sposób jednoznaczny, dotyczy raczej pojęcia odnoszącego się do napięć między grupą, do której należę a inną grupą, między „tacy sami” a „inni”. Rasizm, homofobia, islamofobia to odmiany ksenofobii, a każda z nich dotyczy innej grupy zewnętrznej, innej grupy tych „obcych”. Granice między „naszą grupą” a „obcymi” pogłębiają się, gdy w pań-

stwie prowadzona jest sprzyjająca ksenofobii polityka. Gdy w 2015 r. pojawił się problem przyjmowania uchodźców uciekających przed wojną w Syrii, za ich przyjmowaniem w Polsce było 54 proc. obywateli. W wyniku polityki wrogiej wobec ich przyjmowania liczba ta spadła do 40 proc.

Narasta też niechęć wobec mieszkających w Polsce Arabów, Hindusów czy Czarnoskórych. Jeszcze niedawno dzieci o ciemniejszym kolorze skóry, pochodzące z mieszanych małżeństw spotykały się

z zainteresowaniem dotyczącym np. tego, dlaczego mają dziwne imię, czy dlaczego nie chodzą na religię. Dziś narażone są na drwiny, przezwiska czy wręcz agresję. Jeszcze niedawno uczniowie ucząc się o mniejszościach narodowych żyjących przed II wojną światową w naszym kraju, mieli za zadanie wybrać spośród nich tę, która ich zainteresowała i znaleźć informacje na jej temat. Dziś mają powiedzieć, dlaczego mniejszości narodowe to problem.

Wrogość przejawia się w działaniach bezpośrednich, w słowach, napisach czy przemocy fizycznej. Zwykle zaczyna się od słów, złośliwych komentarzy, napisów na murach, hejtu w sieci. Uczestnicy Marszu Niepodległości maszerują pod hasłami „Europa biała albo bezludna”. Jeden z biskupów biada nad tym, że niedługo w Europie biali będą w mniejszości... Sędzia pisze w jednym z mediów społecznościowych, że Żydzi to „podły, parszywy naród, któremu nic się nie należy”. Ambasada Izraela i środowiska żydowskie wyraziły sprzeciw...Sprawa trafiła do prokuratury, wpis badają politolodzy, językoznawcy i specjaliści z dziedziny komunikacji społecznej. Czy te działania przyniosą spodziewany efekt i autor zostanie pociągnięty do odpowiedzialności? Nie wiadomo...Przed 27 finałem WOŚP pojawiły się elementy antysemitki w kampanii przeciwko Jerzemu Owsiakowi np. Gwiazda Dawida na jednym z banknotów, które do wora zgarnia rzekoma Hanna Gronkiewicz-Waltz. Takich i podobnych działań jest wiele...

Zastraszone ofiary izolują się, zrywają kontakty z innymi, zaprzestają ulubionych aktywności... Osoby wrogo nastawione unikają kontaktów z ofiarami. Zaczynają się akty agresji fizycznej. W autobusie cudzoziemiec i jego polski znajomy zostali pobici tylko dlatego, że rozmawiali po niemiecku, jadący metrem Bułgar został pobity za ciemniejszą skórę. We Wrocławiu pobito dziennikarza za jego krytykę homofobicznego napisu na murze domu. Policja przyjechała po godzinie, ponieważ tego dnia był piątek i mieli wiele zgłoszeń..., w Gdańsku została pobita czternastolatka, która miała tęńczową torebkę.... Bardzo dotkliwie pobito projektanta odzieży za strój, sugerujący jego odmienność orientację seksualną...Uczestnicy mar-

szów równości są atakowani, bici, a bohaterem sieci jest piętnastolatek, który chce krzyżem zatrzymać kolorowy tłum.

Można oczekiwać, że będą się pojawiać działania dyskryminacyjne. „Gazeta Polska” zainicjowała nieudaną na szczęście akcję „Strefa wolna od LGBT”, wielcy dystrybutorzy tej gazety odmówili dystrybucji numeru z naklejką ... Naklejka ta łamie przepis o zakazie zachowań o charakterze dyskryminacyjnym, przypominających te, pochodzące z ustroju faszystowskiego. Wobec podobnych zachowań policja polska jest ślepa i głucha. Ostatnim etapem będzie eksterminacja....

W chwili obecnej najbardziej atakowaną ze względu na swą „inność” grupą są osoby LGBT, a kraj nasz staje się coraz bardziej dla nich nieprzyjazny. Badania przeprowadzone przez CBOS pokazują odwrócenie wieloletniego już trendu rosnącej tolerancji wobec tej grupy. Obecnie tylko 25 proc. badanych deklaruje akceptację, z czego pełną okazuje 9 proc. Podobnie jak kiedyś uchodźcy, obecnie osoby homoseksualne używane są jako straszak. Oskarża się je o pedofilię, dewiację nieletnich, niemoralność... Traktuje jako dewiantów. A przecież od 1973 r. homoseksualizm to jedna z tożsamości płciowych...W marcu bieżącego roku Parlament Europejski wezwał kraje członkowskie do zaprzestania jego leczenia. We wrześniu temat ten powinien trafić na forum ONZ.

Politykom sekunduje polski Kościół Katolicki, szczególnie polscy biskupi. W kazaniu jednego z nich padło zdanie o końcu czer-

wonej zarazy, symbolizującej komunizm i zalewie Polski przez tęńczową zarazę ... jesteśmy straszeni niebezpieczną ideologią homoseksualną. Powstaje pytanie co to znaczy, jak osoby wrogie LGBT rozumieją to pojęcie. Odpowiedź brzmi „Nie znam takiej ideologii, ale wiem, że jest zła”.

Na Facebooku udostępniane są zdjęcia z zagranicznych parad, których uczestnicy ubrani są w maski sugerujące zainteresowania sado-masochistyczne. Fotografie te obdarzono np. komentarzem wiążącym protestujących nauczycieli z wychowaniem właśnie takich osób, dewiantów. Inny komentarz mówi o wyższości wspaniałej młodzieży pielgrzymującej na Jasną Górę nad czymś takim... Jako wyraz dewiacji pokazywana jest fotografia pary ojców, idących prawdopodobnie w parady, okazujących czułość swojemu synowi. Sugeruje się też, że w wyniku współczesnej edukacji seksualnej, gdzie mówić się będzie także o inności, przybędzie przestępców seksualnych.

To pewnie nie wszystkie przykłady, a wrogie komentarze to nic innego jak rodzaj manipulacji... Niestety, takie postawy prezentują katolicy, których wiara zakłada miłosierdzie, miłość bliźniego... A przecież artykuł 2357 Katechizmu Kościoła Katolickiego mówi, że osobie homoseksualnej należy się szacunek, dyskrecja i delikatność, że nie sama orientacja jest zła, ale akt homoseksualny... Postawę miłości, akceptacji i szacunku wobec osób LGBT prezentuje papież Franciszek. Wydaje się, że nie tylko zwykli ludzie, ale też duszpasterze nie chcą z niego wziąć przykładu i przestać widzieć przymiotnik, a ujrzeć osobę. ■



fot. pixabay.com

KAMIEŃ I CIERPIENIE*

Umiejętność patrzenia i widzenia przenikających się płaszczyzn i brył wymaga rozwiniętej wyobraźni przestrzennej. Jest ona niezbędna rzeźbiarzom do wydobywania z kamienia kształtów oraz emocji.

Czy budowanie demokratycznego państwa prawnego wymaga równie wyrafinowanej wyobraźni?

Jerzy Cichowicz



Zanim przystąpi się do pracy nad rzeźbą w twardym kamieniu, należy sporządzić jej model. Nie musi on być bardzo dokładny, ale musi zawierać podstawową ideę przyszłej rzeźby. W tym wypadku wykonany został model w glinie, fot. Jerzy Cichowicz

Niedzielnny poranek. Jasne, już raczej jesienne słońce wyostrzyło moje spojrzenie. Zrobiłem przegląd porannej prasy, przejrzałem wpisy znajomych na portalach społecznościowych i czekałem na otwarcie kawiarenki w Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku, której przeszklona część zachwyca widokiem na stanowiska pracy twórczej rzeźbiarzy. Podczas tego błędnego oczekiwania przyszła mi do głowy myśl następująca: Budowa demokratycznego państwa prawnego przypomina odkuwanie w twardym kamieniu modelu, którym jest obowiązujące prawo. Wszystkie konsekwencje tej metafory wydały mi się tak atrakcyjne i oczywiste, że postanowiłem je dokładniej opisać. Uszeregowałem je w trzy kategorie:

Materiał

Podczas kucia rzeźby w kamieniu można odejść odrobinię od opracowanego wcześniej modelu, ale to zmusza nas do

na znacznej powierzchni rzeźby pozwala lepiej dostrzec poszukiwany w bryle kształt. Ponadto, poprzez takie korekty rozwijamy swoją wyobraźnię przestrzenną. Rzeźbiarz przystępujący do pracy nad kamieniem musi także uwzględniać jego naturalne pochodzenie oraz twardość. Nie jest on w 100 proc. przewidywalny w obróbce, co wymaga często adaptowania się do napotkanych niejednorodności materiału. Natomiast twardość kamienia wymaga dostosowania narzędzi oraz tempa pracy. Wynika to wprost z ergonomii pracy i jakości stosowanych narzędzi. Wiąże ona ze sobą wagę narzędzia oraz zastosowanej techniki obróbki i siły.

W przypadku budowy demokratycznego państwa prawnego tym modelem jest obowiązujące prawo. Wszelkie zamierzone odstępstwa są wykluczone, ale nie pozbawia to nas możliwości podjęcia pracy nad modyfikacją modelu. Adapta-



Blok z naniesionymi kolorowymi znacznikami, których zadaniem jest wyznaczyć kierunki pracy rzeźbiarza, fot. Jerzy Cichowicz

sadnione tylko w przypadku koniecznej korekty. Skutkiem pozytywnym jest to, że odkuwanie cienkiej warstwy kamienia

cja demokratycznymi metodami obowiązującego prawa jest drogą uwzględnienia przy budowie demokracji wszelkich nie-

* W tytule felietonu zawiązuję do książki biograficznej Karela Schulza (Kamień i cierpienie), która ukazuje życie i twórczość słynnego artysty włoskiego renesansu, Michała Anioła. Autor książki ukazuje losy genialnego rzeźbiarza na tle burzliwej epoki gwałtownie poszerzającego się dzięki nauce i odkryciom geograficznym świata.



Dobry pod względem wagi młotek oraz szerokie duto pozwolą szybko opracować płaską i równą podstawę przyszłej rzeźby. Narzędzia te wykonał miejscowy kowal zgodnie ze wskazówkami tworzących w Orońsku rzeźbiarzy, fot. Jerzy Cichowicz

jednorodności i ujawnionych lub antycypowanych potrzeb społecznych.

Pasja i wytrwałość

Kiedy kujemy rzeźbę w kamieniu, nasze myśli są zajęte tylko tym. Nigdzie nie skręcają, nie wędrują. Nie rozpraszają

nas myśli o czymkolwiek innym. Budowa demokratycznego państwa prawnego jest równie absorbująca i wymaga długo trwającej koncentracji. Podobnie jak w pracy rzeźbiarza, potrzebna jest zdolność do autodyscypliny i ograniczeń. To eliminuje z polityki, podobnie jak ze sztuki, ludzi niecierpliwych i pozbawionych wytrwałości w podążaniu do wyznaczonego celu. Dopiero osobiste doświadczenie pozwala nam pojąć, jak ciężka jest to praca. Dotyczy to zarówno pracy rzeźbiarza nad rzeźbą w kamieniu, jak również zaangażowanego polityka.

Zmienne punkty widzenia

Kamień nie przebacza wieczornego pośpiechu i arogancji. „Gdy nadejdzie pora, kiedy lwy chodzą do wodopoju, a rzeźbiarze popełniają błędy”** trzeba przestać i popatrzeć na swój kamień tak, jakbyśmy mieli go już nigdy więcej nie zobaczyć. Ten dystans pozwala następnego dnia powrócić do przerwanej pracy z nową energią i wizją kształtu, do którego dążymy. Nowy dzień i światło poranka pozwala na naniesienie kolejnej korekty. Podczas budowy demokratycznego państwa prawnego także potrzebna jest cierpliwość oraz dystans do „dzieła”. Droga na skróty, niecierpliwość i chęć wcześniejszego osiągnięcia celu jest fundamentalnym błędem, ponieważ budowa ta jest nigdy nie kończącym się procesem ciągłego poprawiania, weryfikacji z przyjętym modelem i społecznymi

skutkami jego implementacji. Sprzyjać będzie trwałym i społecznie akceptowanym rezultatom umiejętność słuchania różnych opinii oraz towarzyszących im racjonalnych argumentacji.

Uniwersalne zasady

Zestawione w trzech blokach analogie między pracą rzeźbiącego w kamieniu a politykiem zaangażowanym w tworze-



Kolejna korekta naniesiona na powierzchni kamienia, fot. Jerzy Cichowicz

nie demokratycznego państwa prawnego można podsumować jedną, uniwersalną zasadą, która determinuje pozostałe. Obaj przystępują do swojej pracy mając przed sobą niejednorodny i wymagający szacunku „materiał”. Dla pierwszego z nich jest to blok skalny, dla drugiego – zróżnicowane, pełne kulturowych uwarunkowań społeczeństwo. Dla powodzenia ich sztuki potrzebny jest bez wątpienia talent oraz wspierająca go wiedza i adekwatne do materiału narzędzia. Nieodzowna jest także pokora i cierpliwość, aby napotkane trudności i niepowodzenia były lekcją, a nie usprawiedliwieniem. Nie można także zapomnieć, że obie aktywności wymagają znacznego wysiłku fizycznego. Jest on tak duży, że po pewnym czasie pojawia się zniechęcenie, a co gorsza, pokusa szybkiego skończenia dzieła. Wówczas pomocna jest rozmowa z naszym nauczycielem i mistrzem, który już doświadczał podobnych kryzysów twórczych. To powrót do fundamentalnego pytania o cel twórczej pracy. ■



** Taką przestrożę usłyszałem od Beaty Czapskiej, polskiej i francuskiej rzeźbiarki prowadzącej warsztaty rzeźbiarskie w Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku. Nawiązuje w niej do łatwości, z jaką polujące lwice dosięgają szyi pijącej wodę zyraby. Na afrykańskiej sawannie zyrafa jest bezpieczna i potrafi bronić się przed atakami zabić kopniakiem lwa. Przy wodopoju jest bezbronna.

ZANZIBAR

WYSPA FRIEDDIEGO MERCUREGO

Białe piaszczyste plaże, piękne krajobrazy, goździki i smaczna kuchnia to pierwsze skojarzenia z Zanzibarem. Tutaj urodził się lider słynnej grupy The Queen – Freddie Mercury.

Anna Lewicka

Plaża Uroa, fot. Anna Lewicka

Kiedy możemy pojechać na Zanzibar? Najlepiej w okresie pory suchej, a występuje ona dwa razy: od czerwca do października oraz w styczniu i lutym. Na Zanzibarze wymagana jest wiza, którą otrzymamy na lotnisku za 50 dolarów.

Wyspa jest najlepszym miejscem dla osób, które chcą odpocząć od zgiełku miasta i cieszyć się pięknymi, długimi plażami. Najbardziej znane są Uroa Bay, Nungwi, Kiwengwa, Paje, Kendwa i Nakupenda. Będąc na plaży lub wybierając się na długi spacer należy pamiętać o przyływach i odpływach oceanu. Poziom wody podnosi się szybko, zalewając plażę i odcinając drogę powrotu na ląd. Turystów urzekają dziewicze plaże, gdzie

piasek ma kolor i konsystencję cukru pudru, który się nie nagrzewa, a woda mieni się odcieniami turkusów. Podczas spacerów możemy spotkać również Masajów, z którymi, za niewielką opłatą, możemy sobie zrobić zdjęcia.

Warunki klimatyczne na wyspie sprzyjają uprawom przypraw, m. in. goździków, gałki muskatołowej i pieprzu, dzięki którym Zanzibar stał się znanym na świecie eksporterem tych produktów. Na wyspie mamy wiele farm, na których uprawia się przyprawy i owoce. Możemy je odwiedzić i zobaczyć, jak rośnie kardamon, marakuja, cynamon czy kurkuma.

Stolica wyspy, również o nazwie Zanzibar, to miejsce godne odwiedzenia. Ka-

mienne Miasto, czyli stara część, znajduje się na liście światowego dziedzictwa UNESCO. Charakterystyczne są jego wyjątkowo wąskie uliczki, w których nie mieszczą się samochody, a transport odbywa się głównie pieszo. Zabudowa jest mieszanką kultury arabskiej, indyjskiej, europejskiej i afrykańskiej. W przeszłości miasto było centrum wschodnioafrykańskiego handlu niewolnikami między Afryką i Azją.

Kamienne Miasto najlepiej zwiedzać na własną rękę, ponieważ jest to bardzo mały obszar i najważniejszych miejsc po prostu nie da się przeoczyć. Spacer możemy rozpocząć od Domu Cudów, który jest dawnym pałacem sułtana Barghasha ibn-Saida. Słynie z tego, że jest pierw-

szym budynkiem w Afryce Wschodniej, gdzie zamontowano windę i pierwszym na wyspie, do którego doprowadzono prąd i bieżącą wodę. Idąc dalej zobaczymy najstarszą budowlę w mieście, czyli Stary Fort, wzniesiony w XVII w. przez Arabów z Omanu. Na jego terenie znajduje się amfiteatr, w którym odbywają się koncerty.

Jedną z największych atrakcji turystycznych miasta jest dom Frieddiego Mercurego, który urodził się tu 5 września 1946 r. Wyspa w tym czasie była kolonią brytyjską, a Frieddie (wtedy jeszcze Farrokh Bulsara) – synem jednego z brytyjskich urzędników, z pochodzenia Hindusem. Ze względu na wojnę domową na wyspie w 1964 r. on i jego rodzina wyjechali do Anglii.

Kamienne miasto to również sklepy z regionalnymi produktami i wyrobami, do których warto zajrzeć. Ceny w nich, co nas zaskoczyło, były wyższe niż w Europie. Ostatnim miejscem wartym odwiedzenia jest targ zwany Darajani. Kupić na nim możemy dosłownie wszystko: ubrania, mięso, ryby, przyprawy, owoce i warzywa. Zapachy mieszają się ze sobą, a bogactwo kolorów i produktów zachwyca.



Sklep w Kamennym Mieście, fot. Anna Lewicka



The Rock Restaurant, Pingwe, fot. Anna Lewicka

O czym należy pamiętać? Warto próbować negocjować ceny, które dla turystów zwykle są zawyżane.

Miłośnicy przyrody mogą wybrać się na spacer przez tropikalny las w Parku Narodowym Jozani – największym obszarze leśnym na Zanzibarze. To doskonała okazja, aby spotkać gerezę trójbarwną,

małpkę żyjącą tylko na wyspie i chętnie pozującą do zdjęć. Park jest ponadto domem dla ponad 40 gatunków rzadkich egzotycznych ptaków, znajdują się tu potężne baobaby, fikusy i lasy namorzynowe. Obok parku znajduje się Zanzibarskie Centrum Motyli, które gorąco polecam. Zobaczymy tam mnóstwo latających pięknych motyli oraz otrzymamy na miejscu wiele ciekawych informacji na ich temat. Najlepiej do tych wszystkich atrakcji wyspy jechać wynajętym samochodem z kierowcą, który zna wszystkie zwyczaje i drogi. ■



Masajowie, fot. Anna Lewicka

QUO VADIS MUNDE?

CZĘŚĆ I - RAPORTY RZYMSKIE

Pół wieku temu powstał Klub Rzymski, którego członkowie - naukowcy, politycy i biznesmeni, zajmują się globalnymi problemami świata. To z ich inicjatywy opracowane zostały tzw. Raporty Rzymskie.

Włodzimierz Witakowski



fot. pixabay.com

Ludzkość stanęła wobec wielu bezprecedensowych kryzysów, między innymi demograficznego, środowiskowego, żywnościowego, energetycznego, surowcowego. Próby rozwiązywania któregoś z nich z osobna dają wyniki chwilowe i to kosztem innych kryzysów.

Wpływem tych kryzysów na przyszłość świata zajął się zespół amerykańskich uczonych, przede wszystkim z Massa-

chusetts Institute of Technology pod kierunkiem prof. Dennisa Meadowsa. Zespół ten jako pierwszy pokusił się o stworzenie matematycznego modelu świata (480 równań) zawierającego pięć głównych zmiennych, ich trendy rozwojowe, związki przyczynowe, wzajemne interakcje i sprzężenia zwrotne. Naukowcy swoje wyniki analiz i prognoz opublikowali w 1972 roku w pracy zatytułowanej Granice Wzrostu¹ powszechnie znanej jako I Raport Rzymski.

Autorzy pisali: „Nasz model świata został zbudowany w celu zbadania pięciu głównych trendów o światowym znaczeniu – coraz szybszej industrializacji, gwałtownego przyrostu ludności, niedożywienia panującego na wielkich obszarach świata, wyczerpywania się nieodnawialnych zasobów naturalnych oraz degradacji środowiska.” Faktem jest, że zaprezentowany model był uproszczony. Tym niemniej, w latach 70. był to jedyny model o zakresie ogólnoświatowym,

o horyzontach czasowych przekraczających 30 lat, który traktował zmienne (liczba ludności, produkcja żywności i zanieczyszczenie środowiska), jako elementy dynamiczne, wzajemnie na siebie oddziałujące.

Naukowcy zbadali zachowanie się swojego modelu zarówno przy występujących wówczas trendach, jak i przy znacznym rozszerzeniu lub nawet zniesieniu ograniczeń takich jak zasoby naturalne, plony, technologia czy koszty energii. Za każdym razem model wskazywał na załamanie się rozwoju świata, w tym zmniejszenie liczby ludności, w drugiej połowie XXI wieku, przy czym kryzys żywnościowy prognozowany był już w końcu pierwszej połowy naszego wieku.

Wniosek płynący z ich badań był jeden: nie ma możliwości, aby materialny rozwój na ziemi postępował w nieskończoność. Oznacza to, że albo człowiek sam nałoży sobie ograniczenia wzrostu albo narzuci je nam natura. A to pociągnie za sobą głębokie zmiany w strukturach społecznych i ekonomicznych.

Autorzy Raportu Rzymskiego doszli do wniosku, że największą przeszkodą bardziej równomiernego podziału zasobów świata jest wzrost liczby ludności. Zwrócili uwagę na fakt, że technologia zmienia się szybciej niż instytucje polityczne i społeczne, które reagują z opóźnieniem w wyniku zaistniałych potrzeb.

Zauważyli również, że brak reakcji w celu rozwiązania problemu wzrostu demograficznego czy zanieczyszczenia środowiska przybliży świat do ostatecznych granic tego wzrostu i zwiększa ryzyko załamania. Pytali „jak długo jeszcze ludzkość może odkładać podjęcie świadomej regulacji swego wzrostu, zanim taka możliwość całkowicie wymknie się jej z rąk”.

Obecnie mamy do dyspozycji najpotężniejszą kombinację wiedzy, narzędzi i bogactw naturalnych. Możemy też stworzyć nową formę społeczeństwa – taką, która może trwać przez pokolenia. Brak nam tylko realistycznego, dalekowzrocznego celu oraz woli jego osiągnięcia. Bez tego взгляд na chwilowe interesy będzie

wyłącznie pobudzał wykładniczy wzrost, który z kolei będzie popychał świat ku ostatecznemu załamaniu.

Wydaje się, że nie było w historii opracowania naukowego, które wywołałoby tak szeroki rezonans w środowiskach naukowych, politycznych, w mediach, wśród działaczy społecznych i u zwykłych czytelników, jak Raport Rzymski. Choć nie wszyscy zaakceptowali płynące z niego wnioski, to jednak raport powszechnie uznano za prognozę ostrzegawczą.

Krytycy raportu zwracali uwagę na fakt „wrzucenia całego świata do jednego worka”, mimo istniejących różnic między krajami rozwiniętymi i rozwijającymi się. W rezultacie kilka lat później międzynarodowy zespół kierowany przez profesorów Mihajlo Mesarovića i Eduarda Pestela stworzył bardziej szczegółowy matematyczny model świata (100 000 równań) przy uwzględnieniu różnic między 10 regionami.

Wyniki prognoz i analiz zawarł w publikacji „Ludzkość w punkcie zwrotnym”², znanej jako II Raport Rzymski.

Autorzy przyjęli, że świat jest systemem zróżnicowanym pod względem kultury, tradycji i rozwoju gospodarczego. Podдали analizie prognozowany przebieg wymienionych wcześniej zjawisk dla 10-ciu

różnych regionów, uwzględniając relacje między nimi. Każdy z 10 modeli regionalnych składał się z „warstw”: jednostek, grup, gospodarki, techniki, ekologii i geofizyki. Przyjmowano różne scenariusze rozwoju świata, a także różne modele podejmowania decyzji.

Zwrócili uwagę, że w przeszłości kryzysy wywołane były zjawiskami negatywnymi takimi jak złe rządy, wojny, epidemie, powodzie czy trzęsienia ziemi. Obecne kryzysy mają źródła pozytywne – wynikają z dążenia do jak najszybszego rozwoju. Płodność i przedłużanie ludzkiego życia powodują kryzys demograficzny, rozwój energetyki i przemysłu oraz ujarzmianie przyrody – kryzysy surowcowy, środowiskowy i klimatyczny.

Na podstawie symulacji dla okresu 50 lat, badacze stwierdzili, że:

1. kryzysy są wynikiem trwałego trendu,
2. kryzysy można rozwiązywać tylko globalnie,
3. zwłoka w działaniach finalnie pogłębi kryzys,
4. rozwiązanie kryzysów jest możliwe tylko na drodze współpracy, a nie konfrontacji (przy rywalizacji doraźne zyski pogarszają sytuację w przyszłości). ▶



fot. pixabay.com

1) Dennis H. Meadows, D. L. Meadows, J. Randers, W. W. Behrens III „Granice Wzrostu” PWE 1973 r.

2) Mihajlo Mesarović, Eduard Pestel „Ludzkość w punkcie zwrotnym” PWE 1977 r.



fot. pixabay.com

► Zwłoka w rozwiązaniu problemu demograficznego to koszt płacony ludzkim cierpieniem i życiem. Dwudziestoletnie opóźnienie może zostać okupione śmiercią głodową ok. 500 mln dzieci, a ograniczona podaż żywności już powoduje katastrofalne kryzysy.

Z kolei rozwój technologii pociąga za sobą rywalizację o zasoby naturalne. Z symulacji twórców II Raportu Rzymskiego wynika, że racjonalny wzrost cen surowców jest korzystny nie tylko dla eksporterów, lecz także dla importerów, stwarza bowiem bodziec do oszczędności, do szukania nowych rozwiązań oraz wolniejsze wyczerpywanie się zasobów.

W obliczu kryzysu energetycznego świat stara się zyskać na czasie, ale nadal nie ogranicza zużycia energii – w ciągu dziesięcioleci zużywa to, co powstawało przez miliony lat. Tylko nieznacznie do rozwiązania tego problemu przyczynia się energia jądrowa. Zatem pozostaje nam

energia słoneczna – bezpieczna, czysta, a nawet tańsza.

Badacze zwrócili też uwagę na efekt uboczny działania człowieka – gazy cieplarniane, które powodują wzrost temperatury atmosfery, wzrost zawiesiny cząstek stałych w powietrzu i niekorzystny bilans wody. Ponadto zaznaczyli, że ludzkość stoi przed wyzwaniem zmiany swojego nastawienia do przyrody. Jako, że stanowimy jej integralną częścią, to naszym celem nie powinno być jej ujarzianie, lecz harmonijne z nią współistnienie.

Twórcy II-go Raportu Rzymskiego sugerują, że powstanie nowego światowego systemu opartego na współpracy jest koniecznością, a nie swobodnym wyborem. Musi zostać też wprowadzona ogólnoswiatowa specjalizacja w przemyśle, uwzględniająca specyfikę regionów. System ten trzeba oprzeć na światowych porozumieniach gospodarczych, a nie na ciasnych, narodowych interesach.

W konkluzji autorzy II Raportu Rzymskiego postulują zmianę systemów wartości. Współpraca między ludźmi winna przenieść się z płaszczyzny narodowej na ogólnoswiatową. Jest konieczne stworzenie międzynarodowej struktury organizacyjnej, w tym organizacji regionalnych – wspólnot dążeń i celów. Należy też zasypać przepaść między „Północą”, a „Południem”. Bowiem rozwój świata, w którym istnieją obszary nierozwinięte, jest z gruntu sprzeczny z porządkiem społecznym, moralnym, organizacyjnym i naukowym.

Powinno się zatem wykształcić nową etykę – zmienić styl życia ograniczając stan posiadania i mając poczucie wspólnoty z przyszłymi pokoleniami.

I wreszcie należy opracować antycypacyjne metody postępowania w obliczu kryzysów, aby im przeciwdziałać oraz stworzyć nowe formy organizacyjne adekwatne dla nowej drogi rozwoju. ■

DRUKARNIA

FOLDRUK FOLION SP.J.

ul. Poezji 19, 04-994 Warszawa

e-mail: adam@foldruk.pl

www.foldruk.pl

tel. (+48) 22 872 00 54

tel./fax: (+48) 22 872 05 73

tel. kom.: 0 502 223 534

DRUKARNIA



FOLDRUK-FOLION



Świadczymy usługi w zakresie druku offsetowego, sitowego oraz wielkoformatowego. Posiadamy również własną introligatornię.

Oferujemy kompleksową obsługę firm w materiały POS.

Swoim Klientom oferujemy szeroką ofertę usług, wieloletnie doświadczenie oraz wysoką jakość produktów.

Drukujemy:

- broszury
- foldery
- katalogi
- plakaty
- opakowania
- teczki
- materiały POS
- wizytówki
- papiery firmowe



KOALICJA OBYWATELSKA

Ewa

Krawczyk-Dębiec

Okręg 20 / Warszawa II

MIEJSCE

11

LISTA NR

5



#ObywatelskiSejm